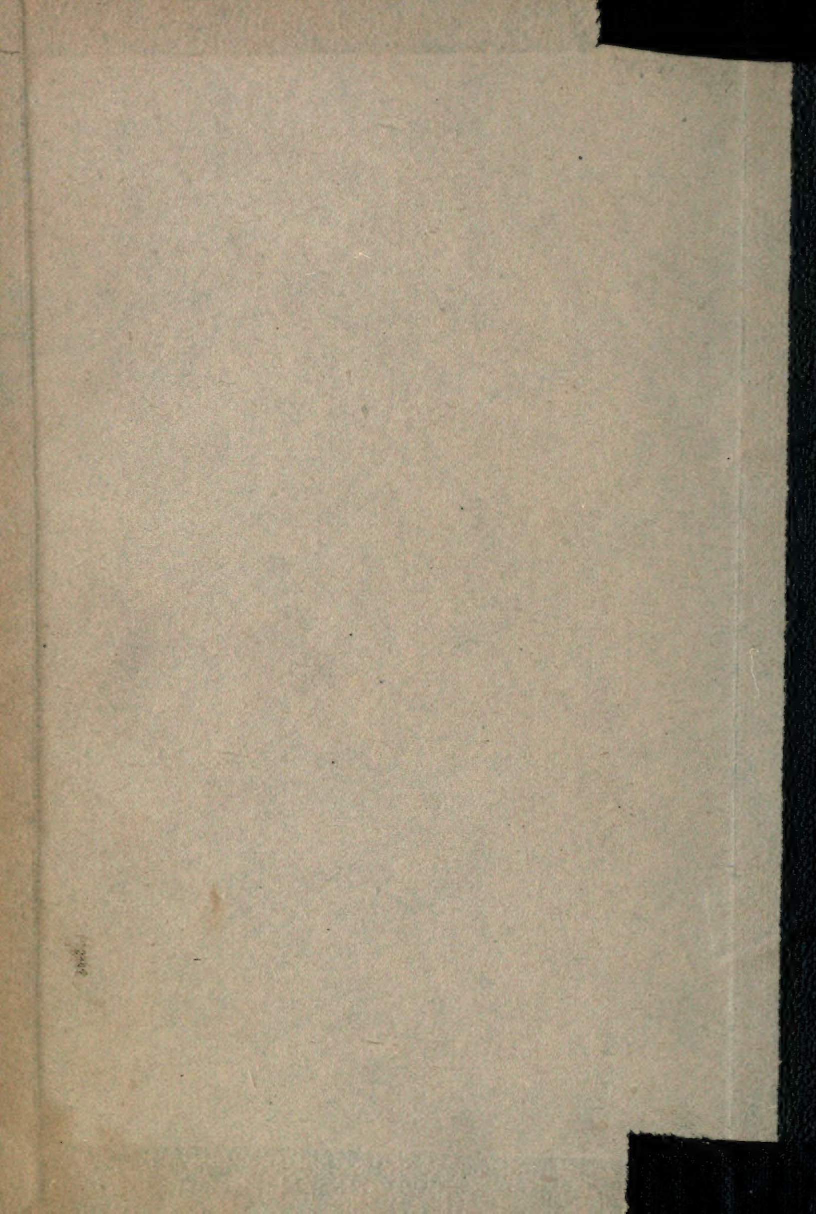



KOŁO MANDOLINISTÓW POLSKICH
"LIRA"
W DETROIT, MICH.

TADEUSZ PUDŁOWSKI.

ZAPISKI PROSIĘCIA

HUMORESKI I NOWELE.



NAKŁADEM KSIĘGARNI LEONA IDZIKOWSKIEGO
KIJÓW WARSZAWA
Kreszczatyk № 29. 1915 Marszałkowska 119.
KRAKÓW: S. A. KRZYŻANOWSKI.


LIBRARY
DEC 13 1968
UNIVERSITY OF TORONTO


DRUKARNIA POLSKA
W KIJOWIE

ZAPISKI PROSIĘCIA.

Przybyłem na świat...

Myślę—więc jestem... «czemś», a to «coś» powstało jednak niezależnie od swej woli, nie zdając sobie sprawy poco? dlaczego?...

Przykra to rzecz—posiadać świadomość wartości własnego «ja» i wiedzieć zarazem, że owo «ja» zawdzięcza swe istnienie nieświadomemu wynikowi doboru naturalnego

---

A może jest jakaś księga istnienia...?

Może początek każdego nowego życia notuje w niej czyjaś ręka...?

Gdybyż nawet tak było, to obawiam się, że notatka o mojem przyjściu na świat brzmi bardzo lakonicznie:

— Narodziło się prosię!...

Prosię... i nic więcej!...

A jednak...

Tyle tęsknot wstrząsa mem prosięcem sercem...

Tyle pytań ciśnie się na mój prosięcy ryj...

Tyle zagadnień przygniata mój prosięcy mózg...

Zapiski prosięcia...

Dziś krwią serdeczną pisane...

A kiedyś...

Gdy—jako wieprz dojrzały — przerzucać będę kartki moich zapisek—zwolna wiersz za wierszem wskrześnie przede mną przeszłość cała... na każdej stronicy znajdę ciekawy przyczynek do głębokich refleksji nad formowaniem się mego indywidualnego «ja»...

Czy wówczas łza rozrzewnienia zwilży mi źrenice?

Czy tylko uśmiech ironiczny wykrzywi spaśny ryj?

A może... znudzony ziewać będę?...

Mówiono mi, iż każdy wieprz ziewa, gdy rozważa przeszłość własną...

Przekonam się o tem wówczas...

Teraz zaś piszmy...

W chlewie wilgotnym ujrzałem po raz pierwszy mrok dzienny...

Czułe kwiknięcie matki zbudziło we mnie świadomość istnienia...

Przytuliłem się do niej...

Instynktownie natrafiłem...

Ssę!

Więc jestem!...

Żyję!

Więc ssę!

Oto całokształt moich wspomnień z czasów niemowlęctwa!

Skąd się wziąłem na świecie?

Dlaczego ci trzej—to bracia moi, te dwie—to siostry moje?

Matko! Skąd? Dlaczego?

Matka roześmiała się szczerze.

— Czy kumcia słyszy — zwróciła się do sąsiadki—o co ten bęben zapytuje? No! powtórz!

A gdym powtórzył, śmiały się obie długo... bardzo długo...

I rodzeństwo się śmiało...

Nawet i ja, nie wiedząc dlaczego, śmiać się zacząłem...

Odtąd matka chełpiła się mną przed sąsiadkami, mówiąc, żem jest niezwykle mądry, nad wiek rozwinięty...

A sąsiadki pieściły mnie, głaskały ryjami...

Tak było zawsze — ilekroć zapytałem: — skąd? dlaczego?...

Należy więc pytać...

Dziś po raz pierwszy wyszliśmy z chlewu...

Przyznaję — obawiałem się przestąpić próg, lecz energiczne kopnięcie matki dodało mi odwagi.

Podskoczyłem kilka razy i, uderzywszy łbem o twarde koryto, stanąłem zdumiony.

Co za blask?!

— Matko! Co tam w górze?

— Gdzie? Czy na tym dębie, co rośnie za chatą?

— Nie... nie... wyżej... bardzo wysoko!

— A! Tam! Nic ciekawego — słońce!

— Co to jest słońce?

— To, co grzeje i świeci!

— Dlaczego grzeje i świeci?

— No... bo słońce!

— Nie rozumiem...

— Więc nie nudź, skoroś głupi! Zresztą nabiłeś sobie przed chwilą porządnego guza i niechaj ten pierwszy wypadek w życiu będzie dla ciebie pamiętną przestrogą na przyszłość. Patrz zawsze przed siebię — w górze

nigdy nie znajdziesz nic takiego, co zjeść byłoby można! Chciej pamiętać o tem, moje dziecko. A teraz chodź! Pokażę tobie cóś bardziej ciekawego niż słońce — zobaczysz, gdzie rosną kartofle. Ucz się, mój synu, zacznij odróżniać pożyteczne od błahego!

Pięknym jest świat!

Trzeba tylko umieć odszukać to piękno, natura bowiem zazdrośnie ukrywa je pod ziemią.

Matka dawała nam wskazówki w jaki sposób ryć należy, wykładając dydaktycznie praktyczne pojmowanie piękna w naturze.

Obżarliśmy się okropnie!

A potem zryliśmy kawał zagonu...

Bo gdy się jest już sytym—mówiła matka—można poświęcić trochę czasu na przyjemność i godziwą rozrywkę!

Więc to był mój papa?

Co za postawa! Jaka godność wielkopańska w tych ociężałych ruchach!

Zbliżył się ku matce. Powitał ją ryjem.

Chrząknęła gniewnie.

Odskoczył i—nie spojrzawszy nawet na własne potomstwo—oddalił się zwolna.

— Wasz ojciec!—kwiknęła nam matka.

— Pomimo, iż nie zwrócił na nas uwagi, że nie obdarzył żadną pieszczotą, jednak...

Miłą jest rzeczą ujrzeć własnego ojca, zwłaszcza gdy matka zezna, że to jest właściwy ojciec!...

Okazały wieprz.

Kwiczę... kwiczę... i uspokoić się nie mogę!

Wyrządzono mi krzywdę straszną... bolesną... w sposób tak brutalny!

Zdeptano mi duszę! Zdeprawowano moją godność prosięcą! Zelżono okropnie!

Gdym w skwarne południe leżał w chlewie pogrążony w subtelnej kontemplacji nad zagadnieniem celowości istnienia wągrów w ciałach naszych, gdy, przymknąwszy oczy, odbiegłem myślą w bezkresy prabytu... pochwyciły mnie nagle ręce ludzkie.

Daremnie-m się szamotał, daremnie kwikiem przeraźliwym oponowałem przeciw gwałtowi!

Pozbawiony punktu oparcia zawisnąłem bezwładnie łbem w dół!

Kilka gwałtownych kurczowych szarpnięć, któremi usiłowałem wyzwolić z żelaznych

uścisków moje tylne nogi, wyczerpało mnie zupełnie...

I usłyszałem słowa:

— A to świński ryj chudy! Sama skóra i gnaty!

Jakto? A moja wartość wewnętrzna?! A moja jaźń!

Protestuję!

Rzucono mnie na barłóg.

I kwiczę... kwiczę.. kwiczę...

Trzej bracia moi przestali istnieć!

Biedacy!

Ocalenie zawdzięczam skórze i gnatom!

Nie treść zatem stanowi o wartości, lecz forma.

Rozumiem...

Miała słuszność matka.

Piękny był dzień. Podwórze rozbrzmiewało hymnem radosnym na cześć życia! Kałuża przy studni, jakby tafla dyamentowa, skrzyła się tęcz miljardem! Woń, falą rozlewną płynąca z poblizkiego śmietnika, mile uderzała w nozdrza! Zdawało się, że piękno tego dnia posiada moc przedziwną, pod uro-

kiem której zamierają instynkty krwiożercze, łagodnieją charaktery, duch wznosi się po nad wszystko, co pospolite, małostkowe, liche..., ustaje walka o byt!

Podwórze poddało się nastrojowi tego dnia..

Kogut - zawadjaka przedzierżgnął się w tęsknego Romeo, z tą jedynie różnicą że— rozkazom natury powolny — nie ku jednej jakiejś kwoczce Julji, lecz ku całemu stadku kur słał zerkanie miłosne... I nie srożył się, jak zwykle, i nie bił skrzydłami po swych bokach muskularnych, i nie zapiał ani razu!

Indor, ów zwyrodniały potomek wymierającej arystokracji, przestał się dąć i puszyć! Ba! zaczął chodzić zupełnie demokratycznie!

Kaczki nie plotkowały, gołębie zaniechały ckliwych mizdrzeń, nawet głupie gęsi zachowywały się jak absolutnie uświadomione stworzenia...

Wzruszył mnie ten widok... rozrzewnił!...

Jednocześnie zaś, obdarzony od natury umysłem analitycznym, postanowiłem zbadać źródło tych niezwykłych zjawisk...

W czem tkwi przyczyna tego nastroju błogiego?...

Krocząc zadumany, nie spostrzegłem, żem zbliżył się do budy uwiązanego na łańcuchu brytana...

Wokół tak jasno... tak ciepło!...

Eureka! To ono... słońce!

Więc tym cudotwórcą jest krąg gorejący, stupromienny, zawieszony kędyś w przestworzach!...

Zadrgało uwielbieniem me prosięce serce!

Czułem, że nie zdołam powstrzymać okrzyku dziękczynnego, że wybuchnę hymnem radosnym...

I... kwiknąłem rozpacznie, gdyż w tej właśnie chwili brytan ciapnął mię w pośladek...

Niegodziwiec!

Jednak matka miała rację..,

Poco-m patrzał w górę...

Phi!... Słońce... no tak... ma pewne zalety... Grzeje... świeci... lecz po zatem nic więcej...

Biorąc ściśle... pełni tylko swoje funkcje...

Cóż w tem nadzwyczajnego?

Ja również świeciłbym i grzał, gdybym był słońcem!



Tyję powoli...

Daleko mi jeszcze do papy, lecz bądźcobądź spostrzegam, iż zaczynam sobie wywalczać stanowisko poważniejsze w naszem społeczeństwie...

Niepodobna bowiem zaprzeczyć, że wygląd zewnętrzny — choć nie może być uważany za kategoryczny sprawdzian wartości wewnętrznej — tem nie mniej daje o niej pewne wyobrażenie.

Ryj jest do pewnego stopnia odbiciem duszy świńskiej...

Tłuszcz zaś zawsze wzbudza szacunek...

Z prawdziwem więc zadowoleniem stwierdzam, iż ważę coraz więcej...

Już nawet i papa przyjaźniej spogląda na mnie, w rozmowie zaś z matką napomknął, że mam przyszłość przed sobą, trzeba jedynie, abym się pozbył głupiej ciekawości, abym wziął rozbrat w filozofją i odzwyczaił się od czczej paplaniny.

Matka powtórzyła mi te cenne słowa papy, dodając od siebie:

— Jeśli chcesz być czemś — naucz się milczeć. Bierz przykład z zaszczytnie znanych i cenionych wśród nas wieprzy — żaden z nich wiele nie mówi. Lepiej bowiem narazić się na zarzut, że milczysz, gdyż nie masz

nic do powiedzenia—będzie to jedynie gołosłowne przypuszczenie, nadmierna zaś gadatliwość może istotnie dowieść, że nie masz nic do powiedzenia. Umiejętność milczenia—to wielki atut w grze życia. Ona zjednywa przyjaciół, broń z ręki wytrąca wrogom, ułatwia karjerę, prowadzi do zaszczytów... Obserwuj tylko bacznie, a przekonasz się naocznie ilu wieprzy zawdzięcza świetną egzystencję milczeniu...

Proszę cię więc...

Piękna moja!

Te ślepki skośne! Te kształty zaokrąglone, nęcące harmonją linji! Ten dziewiczo skręcony ogonek! Ten kwik melodyjny, słodki, upajający!

Ta—lub żadna!

A jaka czysta! Gdy, idąc obok niej, zwalczam namiętnie poglądy Schopenhauera na istotę miłości, a w uniesieniu ekstatycznem otrę się o upojne jej udo — ona, jak prądem elektrycznym rażona — odskakuje ode mnie!

A jak gołębio naiwna! Wyznała mi szczerze, że jeśli kiedyś przemówi w niej serce, to pragnie jedynie, aby z połączenia dwojga

jednem tętnem drgających serc — nie mniej nad piętnaście prosiątek powstało!

O tak! Ta—lub żadna!...

Idę do papy...

Nurzając się w błocie, papa słuchał mych wyznań obojętnie.

Od czasu do czasu chrząkał ironicznie.

Gdym skończył—coś jakby uśmiech tłumiony przemknął mu po ryju.

— Nie dla ciebie partja! — zadecydował.

— Ależ ja ją kocham!

— Więc?

— Ta lub żadna!

— Głupiś! Ta — na to zgoda. Dlaczego jednak—albo żadna? Masz jeszcze dość czasu na związek poważniejszy. Tymczasem — nie wezmę tobie za złe... owszem... rozumiem dobrze, że młodość ma swoje prawa... musi wyszumieć... Romans przelotny... chwilowy nawet szał... to dobrze, bo i ja kiedyś byłem, jak to mówią, farysem. Zachowuj jednak pozory, unikaj rozgłosu... strzeż się skandalu, bo moralność przedewszystkiem! Dobra opinja — to potęga. Bierz przykład ze mnie. Głównie — nie afiszuj się! No i... nie nudź, bom senny. Ale, a propos... byłbym zapomniał... Czytałem

twoje zapiski... dawno-m się już tak nie uśmiał!

— Papo! odparłem dotknięty do żywego — przecież tyle już świń, tylu wieprzy pisało pamiętniki... Czyż to przestępstwo?

— Ależ bynajmniej tego nie powiedziałem. Muszę ci jednak zwrócić uwagę, że nie znam wypadku, aby ktoś w pamiętnikach prawdę o sobie pisał...

Stało się!

Ona została moją!

Jedna chwila zapomnienia...

Nie mam prawa się cofnąć... dałem jej słowo uroczyste... że związek serc naszych uprawnię...

Papa mówił wprawdzie...

Poradzę się mamy...

Mama zgromiła mnie surowo.

— Rodzice tylko szczęście dzieci mają na względzie i na doświadczeniu opierają swe rady. Wyrodnym synem będziesz, jeśli wbrew woli naszej postąpisz...

Codziennie z papą wyleguję się w błocie...

Często opowiada mi pikantne historyjki z czasów swojej młodości.

Uczę się...

Utyłem niepomiernie...

Pal licho zapiski!...



WKLĘSŁE ZWIERCIADŁO.

Gramofon syczy, gwiżdże, sapie, huczy, jęczy, skrzypi—gramofon gra!

Podziwiajcie!

Spojrzyjcie na ten przepych barw, na te olbrzymie płachty, migocące szafirem, czerwienią, fioletem!

Cyrk pcheł! Chłopiec z łebkiem ptasim! Tajemnice św. Inkwizycji! Panorama bitwy pod Sedanem!...

Przedstawienie za chwilę się rozpocznie.

Sprytny hecarz, właściciel tylu osobliwości, stoi u wejścia, budy skleconej z niestarannie oheblowanych desek, i uśmiecha się przebiegle.

Zna on ten tłum dobrze.

Wie czem ciekawość tłumu rozpalić, w jaki sposób do gustu mu trafić.

Rozwiesił przy wejściu malowidła jaskrawe, podobizny osobliwości, sportretowanych pędzlem zapoznanego impresjonisty, panoramę jakiejś bitwy okropnej, gdzie wszystko

pławi się we krwi: i armaty, i ludzie, i ziemia i niebo.

I wie, że efekt go nie zawiedzie...

Gramofon grzmi...

Przedstawienie się zaczyna...

Przedsiębiorca zgarnia srebro i miedziaki...

Publiczność napływa...

Ubogi rzemieślnik ciekawości oprzeć się nie może, na pchły chce popatrzeć... przedewszystkiem zaś porównać...

Oszczędzająca na żołądku szwaczka pragnie zobaczyć chłopca o ptasiej główce...

Emeryt, drobny rentjer, obywatel z przedmieścia—łatwiej strawią przytłusty obiadek, utkwiwszy wzrok w bitwę pod Sedanem...

Św. Inkwizycja przemówi do duszy otyłej dewotki, która spóźni się dzisiaj na popołudniową drzemkę do kościoła, lecz jutro oczyści się z tego grzechu przy konfesjonale...

Tłoczy się więc szanowna publiczność. Płacąc za wstęp do budy, z wdzięcznością spogląda na giętką postać hecarza i z czcią nietajoną na kolorową wstążeczkę w klapie zatłuszczonego fraka, bo to... order, otrzymany z ręki króla «andaluzyjskiego» — jak objaśnia udekorowany.

Przedstawienie się zaczęło!

Na trzeszczącej estradzie ukazują się osobliwości...

Wzdłuż bocznych ścian Sedan i św. Inkwizycja...

Wyczerpujących objaśnień udziela sam właściciel.

Im bardziej program dobiega końca, tem większe niezadowolenie wśród widzów.

Ależ to oszustwo bezczelne!

Cyrk pcheł?

To ma być cyrk? Pchły czarne, wprawdzie nieco większe od tych dobrze znanych, ale zato jakie zmęczone, bezsilne... Wprost ledwie nóżkami włóczą... dość ręką sięgać, aby módz uchwycić i... zgnieść!

Albo chłopiec o ptasim łebku! Dryblas wątły... głowa najzwyklejsza... choć dziwacznie spłaszczona... usta zaś potwornie małe, a nos zbytnio wydłużony, śpiczasty... Ale gdzież tu podobieństwo do ptaka? Gdzież zresztą upierzenie? Tam... na portrecie pióra... sute pióra, a tu, w rzeczywistości, włosy brzydkie i rzadkie: skóra przez nie prześwieca!

I takiego dryblasa obwożą po świecie i za pieniądze pokazują!

A to ma być bitwa pod Sedanem?

Trzy armaty, z dziesięć trupa i dużo, bardzo dużo dymu! A gdzież ranni? Gdzie

twarze wykrzywione szatańskiem cierpieniem, gdzie wytargane wnętrzności, kości pogruchotane, oderwane ręce i nogi, gdzie drgawki i konwulsje przedśmiertne, gdzie strumienie krwi?

I to ma być bitwa pod Sedanem?! Tfu!...

Jeden jedyny kat, trzech mnichów zakapturzonych i kobieta — nawet niezupełnie naga z naddartą skórą na plecach—tylko tyle z tajemnic św. Inkwizycji!

Niewiele... bardzo niewiele... zbyt mało... Albo z heretykami nie umiano się wówczas załatwiać, albo przedsiębiorca jest «lutrem» i w ten sposób szkaluje św. Inkwizycję.

Jeden jedyny kat... zgroza!

Szanowna publiczność nie ukrywa oburzenia.

Ten splunął głośno, ów syknął: — «Złodziejstwo!», inny poczęstował dosadnym epitetem hecarza, który przezornie zniknął za firanką estrady.

Niezadowolenie wzrasta.

Gramofon umilkł.

Przedstawienie się skończyło.

Szanowna publiczność zmierza ku wyjściu.

Gwar. Dobiegają do ucha pojedyncze wyrazy:

— Wydrwigrosz!

— Zwymyślam!

— Z błotem zmieszam!

— Trzasnę w pysk!

Nagle...

Tam w kącie budy śmiech rozbrzmiał...

Kto się śmieje? Z czego? Jest zatem coś...

Tłum zatrzymuje się, cofa...

W kącie śmiech wzmaga się, rośnie, potężnieje...

— Paradne!

— Znakomite!

— Doskonałe!

Sarkająca przed chwilą publiczność śmieje się do rozpuku, bawi się wspaniale.

Zapomniała już o pchłach bliźniaczo podobnych do tych dobrze znanych, o chłopcu z włosami zamiast upierzenia, już nie ma żalu do tych trzech armat i kilku trupów w bitwie pod Sedanem, nie rości pretensji do św. Inkwizycji z jednym jedynym katem i kobietą niezupełnie nagą.

Ma bowiem przed sobą wklęsłe zwierciadło.

Widz za widzem przesuwa się przed lustrem, które na swej powierzchni ukazuje karykaturę potworną odbijającego się w niej oblicza.

A salwa śmiechu wita każdą nową postać.

Śmieją się, chychoczą wszyscy wokół prócz tego, kto przez chwilę jest igraszką rozbawionego tłumu.

I nic w tem dziwnego.

Obojętność jest śmiechu naturalnem podłożem, największym zaś wrogiem jego wzruszenie.

Jakże śmiać się może ten rzemieślnik, który, spojrzawszy w potworne zwierciadło, ujrzał twarz swoją, straszną twarz... z wyciśniętym na niej śladem bezmiernego znużenia. Na skroniach żyły bezkrwiste, sine, jak skręty glist... Twarz, na której troska o jutro tępem dłutem wyżłobiła bruzdy rozpaczy.

Spojrzał, wstrząsnął się i ustąpił miejsca pulchnej blondynce o figlarnie zadartym nosku.

Ten nosek! Boże! Ależ to jakaś narośl obrzydliwa!

A ona na nim opierała swoją przyszłość! Ten nosek zadarty miał jej zapewnić życie w dostatkach, zwabić jakiegoś królewicza z bajki, albo pana krociowego, albo ostatecznie tego subjekta, który z takiem melancholijnem spojrzeniem odcina jej, podług próbki, kruazę...

Cofnęła się szybko z przed nieszczęsne-

go zwierciadła, a już bezzębny emeryt przekonał się, że jego oblicze przypomina etykietę na sublimatowych pastylkach, do zupełnego złudzenia brakuje tylko napisu — «trucizna».

Usunął się więc śpiesznie, stojący zaś za nim rentjer widzi zdumiony olbrzymią, spaśną karykaturę, rozpierającą szczupłe ramy lustra, zalewającą całą powierzchnię szklaną lśniącem, lepkiem sadłem.

Skurczył się, przykucnął, z obrzydzeniem zamknął oczy, łokciem toruje sobie drogę, przeciska się przez tłum...

Za chwilę jednak i rzemieślnik, i fertyczna blondynka, i wyschnięty emeryt, i rentjer wypasiony śmieją się do łez z otyłej dewotki, co wstrzymać okrzyku nie mogła. Przerażenie maluje się na jej twarzy. Wierzyła tak głęboko, iż Rzym skasuje celibat, tyle na powyższą intencję odmawia nadprogramowych koronek... Zdawało się jej nawet, że kanonik... Boże! Czyż podobna marzyć o czemśkolwiek, mając tyle zmarszczek, tyle brodawek!...

Gramofon rzęzi, trzeszczy, sapie, świszczy—gramofon gra!

Wkrótce rozpocznie się nowy seans.

Szanowna publiczność wychodzi powoli...

Zadowolenie ogólne.

Właścicielowi orderu «andaluzyjskiego», cyrku pcheł, chłopca o ptasim łebku, tajemnic św. Inkwizycji i panoramy bitwy pod Sedanem nie grozi już ani zwymyślanie, ani trzaśnięcie w pysk.

Przeciwnie.

Ten skinie mu głową życzliwie, ów szepnie—«do widzenia»—inny nawet rękę poda.

Przecież było wklęsłe zwierciadło!

I nietylko w jarmarcznej budzie, zawierającej falsyfikaty osobliwości, lecz i w olbrzymim teatrze życia, gdzie obok rzadkich wyjątków — chłopców o ptasich główkach — uwijają się istoty o mózgach ptasich, gdzie tajemnice św. Inkwizycji bledną wobec inkwizycji i tajemnic przeznaczenia, gdzie czas rozwija panoramy, budzące stokroć większą zgrozę, niż bitwa pod Sedanem — — — największem powodzeniem cieszą się wklęsłe zwierciadła.



Kłoziewicz, westchnąwszy głęboko, podsumował kolumnę cyfr drobnych. Suma otrzymana widocznie ździwiła go niezmiernie, bo zaczął rachunek sprawdzać uważnie, powoli, cyfra za cyfrą, a gdy mimo to wynik liczbowy nie uległ zmianie, coś mruknął i wreszcie ze złością nietajoną zmiął wązki skrawek papieru, na którym obliczeń dokonywał, i do kosza przy biurku rzucił.

Przez długą chwilę siedział zapatrzony w poplamioną bibułę, pokrywającą spłowiałe i w wielu miejscach przetarte sukno na biurku.

Dziś ostatni dzień miesiąca.

Za jakąś godzinę kasjer zawezwie go i wypłaci pensję miesięczną—równoważnik wartości tej pracy, jaką Kłoziewicz wykonywał w ciągu dni trzydziestu w godzinach biurowych.

Pozycja dochodu wiadoma.

Sięgnął po świeży arkusz papieru, złożył starannie w kilkoro i znów obliczać począł, tym razem ile i komu ująć trzeba, aby suma wydatków niezbędnych nie przekroczyła sumy wiadomego dochodu.

Od lat dziesięciu, gdy się był ożenił, dwanaście razy do roku w ten sposób mozolił się nad ułożeniem budżetu miesięcznego.

Z roku na rok wzrastały wydatki, dochód, niestety, pozostawał bez zmiany!

Nie ziszczały się marzenia o podwyżce!

Dziesięć... głupie dziesięć rubli na miesiąc więcej, a pozycje «ma» i «winien» zbilansowałyby się cudownie!

Ostatecznie komu-ż ująć?

Czy gospodarzowi, posiadającemu w ręku kontrakt na stemplowym papierze? Czy żonie, która wyrzeka bezustannie na niezwykłą drożyznę? Albo służącej? Albo szewcowi za buciki dla Janka i Stasi?

Jak te bębny niszczą obuwie—pojęcie ludzkie przechodzi!

Komu-ż zatem?

Chyba... sobie?... Naturalnie. Sobie samemu!

Wprawdzie przydałaby się nowa marynarka, bo ta aż się prosi o emeryturę dobrze

wysłużoną, a świeci się, bestją, jak cylinder! Lecz... trzeba ją będzie wyczyścić esencją herbacianą... podobno doskonały środek! No... a spodnie? Prawda... spodnie!

Kłoziewicz wyprostowuje nogę i z ukosa spogląda na nogawkę...

No... tak... niepodobna zaprzeczyć... ostrzępione u dołu! Z rana jednak zdawało mu się, że więcej! Jeśli krawiec obetnie, założy, przyprasuje... Stanowczo są zbyt długie... wreszcie... można je na szelkach opuścić...

Dziesięć rubli miesięcznie podwyżki!

Gdyby nie obawa, upomniałby się o nie już dawno... Nuż dyrektor odmówi? Wtedy... należy podziękować za posadę...

Dreszcz wstrząsnął Kłoziewiczem.

Żona... Janek... Stasia...

Trzeba czekać cierpliwie. Muszą przecie przypomnieć sobie, że on już tyle lat na jednej pensji siedzi!

I dlaczego?

Sam w głowę zachodzi—dlaczego? Inni awansują.

Bądź co bądź sobie niema nic do wyrzucenia. Stara się, pracuje, do biura przychodzi punktualnie i znosi wszystko cierpliwię: i zły humor dyrektora, i nerwy prokurenta, i docinki kolegów, i obelżywą obo-

jętność woźnego w biurze... wszystko znosi... i za wszystkich...

W początkach bolało go to, gryzł się, trapił, noce bezsennie spędzał, niepojętym wysiłkiem woli bunt w piersiach tłumił, aby nie wybuchnąć... Powoli jednak przyzwyezaił się, zobojętniał, zżył się z tem... Zresztą żonaty musi...

Gdybyż przynajmniej otrzymał te dziesięć rubli miesięcznie więcej! Trudno... głową muru nie przebiję!

Kłoziewicz ocknął się z zadumy, złożył starannie papier, na którym z takim mozołem zdołał pogodzić dochód z wydatkami i powrócił do przerwanej pracy.

Po chwili odrzucił pióro. Jedyny dzień w miesiącu, taki dziwny dzień, kiedy wprost nie może zmusić się do pracy. Powtarza się to stale i mija. gdy już otrzyma pieniądze, gdy się przekona, że i tym razem...

A kto wie?... Może dziś...

Skrzywił usta w gorzkim półuśmiechu...

Od tylu lat «a może dziś» zawodzi!

— Kłoziewicz!—dobiegł z końca sali głos któregoś z kolegów.

— Co?—zapytał apatycznie.

— Mam apetyt na lekkie śniadanko, z przyjemnością przełknąłbym ze dwa szkła

i coś z bufetu! Może zrobimy interes! Gotów jestem trzymać... no tak do wysokości dziesięciu rubelków, bo to dziś...

Zachychotano wokoło.

Kłoziewicz milczał, tylko wargi zadrgały mu nerwowo, a twarz wychudłą zpurpurowił rumieniec...

Pamięta... Przed dwoma laty tak był pewny podwyżki, że założył się z kolegami o wódkę z przekąską.

Raczyli się wtedy za jego pieniądze, ci...—łypnął nienawistnem spojrzeniem w stronę kolegów.—A jakże! Kanapki z kawiorem żarli, a tamten koniaczkiem się raczył, szubrawiec! Najedli się, napili i po dziś dzień mają temat do żartów i kpinek!

A dobrze mu tak... dobrze...

Czy oni rozumieją, co dla niego dziesięć rubli znaczy...

Przecie to suma, której brak tak dotkliwie odczuwa, ile razy spojrzy na swoją połyskującą marynarkę, na ostrzępione spodnie, na zniszczony żakiet żony, na wykręcone obcasy u Janka i Stasi, na spłowiałe kołdry na łóżkach, na pęknięty stół, na tę wazę z uchem utrąconem, z której żona codziennie czerpie dlań zupę łyżką, niegdyś, podobno, platerowaną dziś zaś po-

pstrzoną jakiemiś żółtawo zielonkawemi plamami!

Dziesięć rubli więcej i miałby dowód, że oceniają jego pracę, że widzą, jak gorliwie spełnia swoje obowiązki, jak się stara, jak czasu bezczynnie nie twoni, jak znosi cierpliwie wszystko i za wszystkich!

Czy ślepi są do djabła, czy widzieć tego nie chcą?!

— Panie Kłoziewicz, proszę!—zawołał dyrektor, uchylając drzwi gabinetu. Kłoziewicz zerwał się, jak piorunem rażony, niezręcznie odsunął krzesło i na palcach, pochylony niezdarnie, wśliznął się do pokoju dyrektora.

— Wezwałem pana, panie Kłoziewicz—spokojnym, miarowym, jak kroki szyldwacha, głosem rozpoczął zwierzchnik—aby zakomunikować...

Ciarki przebiegły po grzbiecie Kłoziewicza: w ciągu dziesięciu lat dziś po raz pierwszy dyrektor zwraca sie do niego osobiście... ma coś do zakomunikowania bezpośrednio... Zgiął się jeszcze bardziej i utkwił w twarzy szefa wzrok strwożony, starając się nadać oczom wyraz spotęgowanej uwagi, choć malował się w nich jedynie matowy aljaż obawy z rezygnacją maltretowanego urzędnika.

— Aby zakomunikować—powtórzył dyrektor—iż rada zarządzająca naszego towarzystwa postanowiła na wczorajszem posiedzeniu...

Ugięły się nogi pod panem Kłoziewiczem... Co może on mieć wspólnego z postanowieniami rady zarządzającej?... Czyżby się był omylił we wczorajszym wyciągu, który przygotował na posiedzenie rady?...

— W uznaniu pańskiej gorliwej i nieskazitelnej pracy przyznać panu podwyżkę w wysokości dwudziestu rubli miesięcznie... Winszuję panu i mam nadzieję, że ten krok ze strony rady zarządzającej doda panu bodźca do dalszej tem intensywniejszej pracy, panie Kłoziewicz!

Dyrektor zamilkł i skinął głową, przewidując ukłon urzędnika.

Kłoziewicz jednak nie złożył ukłonu.

Może nawet chciał... nie! W tej chwili on nie mógł chcieć lub nie chcieć! Stracił świadość czynu i woli.

Dwadzieścia! Dwadzieścia rubli podwyżki!... Rada zarządzająca!... Uznanie gorliwej pracy!...

Boże!

Zawirował gabinet... biurko... dyrektor... Instynktownie uchwycił za poręcz fotelu...

Oprzytomniał.

— Panie dyrektorze! wykrztusił. Pan dyrektor... wybaczy... to... jest... raczy... ja... ja... doprawdy... nie wiem... jak... z głębi serca...

Dyrektor powtórnie skinął głową.

— Ja... tak... nagle... nigdy się nie spodziewałem... nie oczekiwalem... dwadzieścia rubli... nawet nie marzyłem... w jaki sposób mam... podziękować...

— Dalszą pracą, panie Kłoziewicz, najlepiej pan podziękuje! No co? Dwadzieścia rubli przyda się zapewne?

— Czy się przyda?!—niemal krzyknął Kłoziewicz. Czy się przyda?... powtórzył z goryczą. Przez dziesięć lat, panie dyrektorze, co miesiąc... przed każdą pensją... O! bo pan nie wie... co to znaczy łamać sobie głowę nad tem ile i komu ująć... Wydatki z każdym rokiem rosły... Żona... potem dziecko... później drugie... Czy się przyda?! Dziś jeszcze... przed chwilą...

Odetchnął ciężko.

Pan, panie dyrektorze, nie odczuwa, że mięso podrożało już o dwie kopiejki na funcie, ale ja to dobrze odczuwałem... i tak dziesięć lat... Na życie daj... mieszkanie płać... bucik kup... o każdym drobiazgu myśl...' na wszystko miej! Gospodarz, rzeźnik, piekarz,

szewc nie pytają, panie dyrektorze, zkąd masz wziąć... co ich to obchodzi!

Szef poruszył się, chcąc skrócić audjencję, lecz uszczęśliwiony urzędnik zdawał się nie widzieć tego.

Ubiegłe dziesięć lat przesunęło się w pamięci Kłoziewicza. Zapomniał iż stoi przed zwierzchnikiem, który powiadomił go o postanowieniu rady zarządzającej. Obecnie, gdy podwyżka upragniona stała się faktem dokonanym, gdy marzenia przeistoczyły się w rzeczywistość, tem żywiej wystąpiły w pamięci godziny udręczeń, trosk, szamotań się w walce o byt, o jutro...

— Ileż to razy, panie dyrektorze, człowiek myślał, że mu się łeb na osiemdziesiąt kawałków rozpryśnie, gdy zaczął zsumowywać pozycje niezbędnych wydatków. Nięstety! Cudotwórcą nie jestem, z rubla więcje po nad sto kopiejek nie wycisnę! Niechnoby rada zarządzająca usiadła na mojem miejscu, niechby musiała bez omyłki żonglować tysiącami gdy w kieszeni dziesiątek brak... I to lat dziesięć! Tak... Długich... dziesięć lat... psiakrew!

— Panie Kłoziewicz!

Kłoziewicz nie słyszał:.. Tyle goryczy spłynęło mu do krtani!... Słowa, jak psy

spuszczone z łańcucha, biegły na oślep, cisnęły się po przez spruchniałe zęby...

— Naturalnie...—ciągnął dalej—co radę obchodzić może jakiś tam urzędniczyna? Kto z tych panów, pobierających tysiące, zastanawia się nad tem, w jaki sposób taki osobnik, zajmujący miejsce przy biurku koniec z końcem związać zdoła? Płaci mu się przecież umówione z góry wynagrodzenie. Mało mu? Nikt go nie trzyma. Niech idzie szukać czegoś lepszego, na jego miejsce tysiące innych z upragnieniem wyczekuje. Ba! Panowie często gniewacie się w duszy, że taki cymbał ani myśli pójść, że trzyma się mocno jak pijawka! Macie do niego żal, że nie daje powodu, aby się go pozbyć i pozbawia was możności wyświadczenia komuś grzeczności dla podtrzymania stosunków wpływowych... Oceniając moją gorliwą pracę... powiedziałeś przed chwilą, panie dyrektorze! Więc wy za pracę płacicie?! Za pracę! A na jakiej to misternej wadze umiecie zważyć wartość mojej pracy? Dlaczego teraz dopiero? Dlaczego nie przed miesiącem... przed rokiem?...

Macie słuszność! Byłem gorliwy! Bardzo gorliwy! Pracowałem przy biurku, wyślepiając oczy nad kolumnami cyfr... Lecz to nic jeszcze! Stokroć bardziej pracowałem nad

sobą, nad zduszeniem ambicji własnej, nad zdeptaniem woli i ducha! Ile kosztowało mnie wysiłków i pracy, aby nie warknąć, gdy prokurent tępił na mnie swe przeostrzone nerwy, aby nie plunąć, gdyś pan, panie dyrektorze, dał mi odczuć swój zły humor—skutek nocnej hulanki lub histerycznego napadu twojej, z pewnością lepiej, niż ja, wynagradzanej przyjaciółki...

— Panie Kłoziewicz! Oszalałeś pan?!

— Pracowałem! Tak... pracowałem nad ułożeniem ust w uprzejmy zawsze uśmiech, a karku w uniżony ukłon! Miałem przykład na wielu z kolegów, co ukłon może! Pracowałem lat dziesięć i dziś nareszcie... rada zarządzająca oceniła...

Zaniósł się śmiechem spazmatycznym.

— Nareszcie! A już straciłem nadzieję! Dziś jeszcze ujmowałem sobie! Sobie samemu, panie dyrektorze! No, śmiej się pan! Przecież to musi być strasznie śmiesznem dla pana! Jakżeż to można ująć coś sobie samemu!

I, śmiejąc się do rozpuku, Kłoziewicz, splunął w stronę oniemiałego dyrektora, a otworzywszy na oścież drzwi gabinetu, wybiegł do biura.

— Czy wy wiecie—zwrócił się do przerażonych kolegów, że rada na wczorajszem

posiedzeniu... w uznaniu mojej... gorliwej... pracy... przyznała mi nareszcie... podwyż...

Zatoczył się i padł.

Podobno zwarjował.



PRZECZULONA.

Minął ją, zatrzymał się przed pierwszą lepszą witryną jakiegoś sklepu, gdy zaś przechodziła obok—szepnął:

— Idź naprzód!

Ogarnęła go badawczem spojrzeniem i, skinąwszy porozumiewawczo głową, przyśpieszyła kroku.

Towar znalazł nabywcę, porozumienie zaś nastąpiło tak szybko, iż uszło zupełnie uwagi licznych o tej porze przechodniów. Jej wystarczył jeden rzut oka, aby zaliczyć klijenta do kategorji szanujących pozory i zaniechać targu o cenę On miał wprawę nielada w zawieraniu takich sekretnych półgodzinnych znajomości.

Zresztą ona wpadła mu w oko wczoraj jeszcze, gdy powracał był z żoną z teatru. Niecierpliwie oczekiwał dzisiejszego wieczora, aby módz pozwolić sobie na tę przyjemność, w dodatku taką tanią przyjemność.

Dzień cały przesuwała się przed jego oczyma jej twarz... nie!... twarzy przecie nie mógł się przyjrzeć w przejściu... lecz jej bluzka jaskrawa, bezwstydnie uwydatniająca piersi rozwinięte wspaniale, przepyszną linję ramion, krągłość karku.

Jego ulubiony typ!

Choć szedł za nią zdala, niby obojętny przechodzień, jednak pasł oczy jej kształtami... Dreszcz przebiegał mu po plecach...

Nabywca wszedł w prawa posiadacza.

Przyjemność już się rozpoczęła!

Na rogu pierwszej poprzecznej obejrzała się, wyszukując go wzrokiem wśród tłumu.

— Pierwsza brama... na lewo...—rzuciła szybko półgłosem, gdy otarł się o nią i szybko poszła naprzód.

Skrzywił się nieznacznie, z obawą wokół z pod rzęs się obejrzał, aby sprawdzić, czy nikt nie spostrzegł tej krótkiej rozmowy, uchybiającej jego stanowisku społecznemu i dobrej opinji, którą cieszył się w mieście.

Zanim skręcił w poprzeczną ulicę, odegrał rolę znudzonego mieszczucha, co wyszedł był na przesyconą kurzem ulicę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i teraz nie wie, co począć z resztą wieczoru. Patrzy na zegarek... Wzrusza ramionami, jakby mówiąc:—

djablo jeszcze wczesna godzina! Na co się zdecydować?... Czy pójść dalej, dać się wchłonąć tej różnobarwnej gwarnej fali ludzkiej, czy poszukać rozrywki w pierwszej lepszej knajpce, czy wstąpić do cukierni na filiżankę kawy czarnej i pogawędkę ze znajomymi, czy też zawrócić do domu, w zacisze własnego mieszkania, na łono rodziny?...

Waha się... namyśla...

Wolnym krokiem kieruje swe kroki ku... pierwszej bramie na lewo...

— Tutaj... w podwórzu... w poprzecznej oficynie... na pierwszem piętrze—informuje go ona—niech chłopuś pozwoli...

— Sama mieszkasz?—zagadnął.

— Nie... z przyjaciółką... ale we dwóch pokojach... nikt nie przeszkodzi!... Ostrożnie... chłopusiu... tu dwa schodki... dalej już widno...

Niepokój drgał w jej głosie. A nuż gość się rozmyśli?... Może zraziła go wiadomość o wspólnem mieszkaniu z przyjaciółką...—bo pocóż zapytywał o to... Niektórzy—wie z doświadczenia—obawiają się, aby nie spotkać znajomego... i w ostatniej chwili tranzakcja nie dochodzi do skutku... a wtedy...

Znów wychodź na ulicę, ziębnij, przebiegaj chodnik od rogu do rogu bez chwili wytchnienia...

— Oj! Jaki chłodny wieczór dzisiaj!—zaczęła paplać, aby pokryć niepokój—zimna jesień w tym roku... prawda? co?...

— Nam będzie zaraz ciepło—mruknął cynicznie.

— A tak!—roześmiała się już uspokojona, otwierając drzwi z klucza—ciepło będzie... bardzo ciepło!... Proszę prosto... do drugiego pokoju... Czy, chłopuś, pierwszy raz u mnie?

— Pierwszy... Gdzież tu palto można powiesić?

— Daj, chłopusiu, w przedpokoju jest wieszadło... zaniosę!

— Dziękuję. Nie mam zamiaru pożegnać się z paltem nazawsze.

— Ja-m nie złodziejka!...

— Być może, ale za twojego najdroższego głowy bym nie dał?...

— On ma lepsze palto niż pańskie...

— Wierzę bardzo... ale widzisz... ja własnymi pieniędzmi płacę krawcowi i dlatego wolę być ostrożnym...

— Jak pan uważa—odwróciła się pogardliwie.

Zaczął się rozglądać po pokoju.

— Phi! Ile tu fotografji! Jaki piękny dobór męskiego towarzystwa! Powiedz mi, który z nich pierwszy się tobie przysłużył?

Szarpnęła sznurówkę.

— Wiadomość do szczęścia panu potrzebna, co?

— No nie!... Ty pewnie tego nawet nie pamiętasz—roześmiał się głośno. No... no... nie marszcz się... ja—widzisz—lubię pogawędzić... Skoro zaś to tajemnica... nie nalegam! Dla mnie w gruncie rzeczy kwestja absolutnie obojętna, czy to był ten—zaczął wskazywać palcem na fotografje—z twarzą, na widok której rasowy mops skomlałby z zachwytu, czy ten wybitny typ majstra kieszonkowego, czy ten okaz kryminalisty, czy tamten—przysięgnę—artysta od szlachtowania wieprzy, czy ów w czapce z gwiazdką—jeśli się nie mylę—dozorca więzienny!... To mi absolutnie wszystko jedno!...

— Czy, chłopuś, pali?—przerwała mu, kładąc się na łóżku.

— A jakże... palę...

— Proszę mnie poczęstować!...

— Ale cygarem... chcesz?...

— Daj!

— Zapalisz?

— Ja? Skądże? — wstrząsnęła się ze wstrętem.

— Aha! Więc chciałaś schować dla niego. Może się obejść smakiem. Zbyt dobre

lubię cygara, aby je jakiemuś opryszkowi dawać.

— Bez łaski!—warknęła. No... prędzej!... Co pan myślisz, że tu do rana z panem będę się bawiła...

— Zaraz... zaraz... co nagle to po djable... mamy jeszcze czas...

Usiadł na krawędzi łóżka i drżącą ręką dotknął jej ciała.

— Podobasz mi się—mlasnął, jakby coś przełykując.

— I dlatego mi pan dokuczasz... jak psa kopiesz—wybiegła cicha skarga z krtani goryczą zdławionej.

— Ja dokuczam?! Ja dręczę?!—ździwił się. Co znowu? Nie... Nie miałem bynajmniej zamiaru... moja... jak ci na imię?

— Mania.

— Mania! Patrzcie państwo! Mania! Was to widocznie i chrzczą odpowiednio... jedna w drugą Mania! Komedja, jak dzieci kocham! O czem to ja mówiłem... Aha!... Więc widzisz—moja Maniusinneczko... Maniusininieczko... Prawda? Ładnie nazywam? Jabym mógł cię dręczyć? Ja?! Nie... ja cię bardzo... bardzo lubię... bardzo... bardzo..., ale jeszcze bardziej lubię patrzeć na kogoś, kto może mnie nawet nienawidzi i pomimo to musi być mi uleg-

łym! Bo wtedy dopiero człowiek poznaje wartość rubla! Już taką mam naturę. Wydam chętnie... stać mnie na to,... ale z rubla muszę wyciągnąć wszystko, co tylko dać on może. He! he! Dawniej—pamiętam—gdy młodość świtała we łbie, gdy się zbyt mało znało wartość grosza, byleco wystarczało... Nie dziś jednak... nie dziś... Życie dało doświadczenie... wyrobiło smak... wysubtelniło pojęcie rozkoszy... Ty może tego nie rozumiesz..

— Prędzej, panie!

— Powoli... powoli... Maniu! Piękne masz ciało... takie gładkie... delikatne... zaróżowione... śliczne!

Uszczypnął ją, aż syknęła z bólu.

— Zabolało? Przepraszam... ale ja właśnie... potrzebuję...

— Prędzej!

— Powoli... Zaraz... zaraz... raz tylko jeszcze...

— Pocałuj mnie pan!

— Co takiego?! Nie udawaj tylko, moja droga, bo ja—uważasz stary wróbel jestem... na miłość wziąć się nie dam i na cukierki za całowanie nie dołożę! Z całowaniem wyjechała! Paradna jesteś! Obejdzie się i bez tego... O! widzisz...

— Pocałuj! Całuj, psiakrew!—krzyknęła i przyciągnąwszy brutalnie do siebie, ustami wpiła się w jego usta...

. . . .

. . . .

— I cóżeś ty myślał? Sądziłeś może, żem się zakochała w twojej nalanej sadłem twarzy? Z rogu mnie wziąłeś i na róg zaraz pójdę... ale ty nie rozumiesz... nie! Fe! potem cuchniesz—splunęła. Za rubla mnie wziąłeś i musiałam iść z tobą, aby choć przez chwilę ogrzać się w mieszkaniu i odpocząć, bo ja już to odpoczynkiem nazywam! Musiałam iść, bo gdybym nie poszła, to on kości by mi poprzetrącał... on... mój kochanek! I całowałam ciebię, chłopusiu, a ty tego nie zrozumiesz, boś bydle! Tobie rubel może dać wszystko, lecz mnie... nie! Całowałam tak serdecznie,ześ mi zniknął z oczu, że przestałam widzieć twoją spoconą twarz, że nie czułam twego oddechu, nie słyszałam sapania! I tak całuję każdego, gdyż inaczej dusiłabym chyba was, jak psów, jednego za drugim! Ty z rubla wyciskasz wszystko, co tylko on dać może, boś ty bydlę, chłopusiu!

— Moja droga! Nie zapominaj się i nie wrzeszcz!

— Boisz się, co? Obawiasz się awantury. Widzisz! Nie chciałbyś, aby cię zobaczono u mnie! Rozumiem... byłby skandal na całe miasto, gdyby się dowiedziano, że taki porządny człowiek odwiedza dziewczęta z ulicy... A przecież — sam mówiłeś — lubisz patrzeć na kogoś, kto cię nienawidzi i pomimo to musi być uległym dla rubla! Ja już swoje zapracowałam. Płać... płać, chłopusiu! Dajno!... Patrz i dziw się: wyciągnąłeś z tego rubla wszystko, co tylko dać może, a on ani schudł, ani połysku nie stracił... nic... zupełnie się nie zmienił! Co? Nawet na cukierki dokładasz?! Widocznie-ś zadowolony! I cygaro dajesz?!...

— Otwórz no drzwi,... prędzej!...

— Nie bój się... nie śpiesz... powoli! Nikt cię nie zobaczy, nie spotka... My umiemy zachować tajemnicę!...

— Dobrze już... dobrze... otwieraj...

— Zaraz. Powiedz mi tylko, chłopusiu, czy podobam się tobie jeszcze? Czy zajdziesz do mnie powtórnie?

— Może... zobaczę...

— A czy podobam się jeszcze?

Roześmiał się z przymusem.

— Owszem... Jesteś dobrze zbudowana... ciało masz ładne... tylko...

— Tylko co?

— Jesteś dziwnie—jakby to powiedzieć—przeczulona!...

— Za to pan przecie nie płaci...—szepnęła, otwierając mu drzwi.



ZAWÓD.

Już najbardziej opozycyjne w mieście zegary wydzwoniły północ, gdy radca opuścił był resursę i krokiem miarowym, wygodnym, jakim zwykle chodzą ludzie, których można nie cenić, lecz na kilkanaście tysięcy rocznego dochodu oceniać należy, skierował się ku domowi.

Kilka dorożek oczekujących pasażerów ruszyło po radcę, lecz ten wyminął je zręcznie i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zawiedzeni automedoni pożegnali go docinkami.

— Ho! ho! Jaśnie pan spłukał się pewnikiem i teraz na piechtę dralować musi!

— A może jaśnie pan jeno samochodem jeździ—to proszę: mój kary galanto śmierdzi, lepiej niż automobil!

Radca nie zważał na te dowcipy.

Zadowolony był z wieczoru spędzonego w resursie, bo i powodzenie sprzyjało mu

dziś przy zielonym stoliku, i kolacyjny rumsztyk smakował jak nigdy, i—co rzecz najważniejsza—dowiedział się od mecenasa, że senat rozstrzygnął na jego korzyść wytoczoną przez policję sprawę o samowolną przeróbkę wilgotnych piwnic na mieszkalne sutereny.

Tak wyjątkowo przyjemny wieczór pchnął wrażliwy umysł radcy na krętą ścieżkę dociekań filozoficznych. Wbrew znanemu twierdzeniu, iż syty żołądek jest wrogiem nieprzejednanym wszelkiej myśli głębszej, radca, aczkolwiek zjadł był obfitą kolację, począł roztrząsać stary jak świat, lecz dotąd nierozwiązany problemat: — na czem polega prawdziwe szczęście człowieka?

— Ludzie są krótkowzroczni i dziwnie niezdecydowani! — monologował półgłosem, przejąwszy się tematem. Co człowiek, to odmienne pojęcie szczęścia. Ten widzi je w majątku, ów w pozyskaniu wpływowego stanowiska, tak zwanej, karjerze, inny w zadowoleniu osobistem. Jeden wyobraża sobie, że szczęście ukrywa się gdzieś zdala od świata, gdzie ani śmiech nie doleci, ani jęk się nie zakradnie, inny chce je znaleźć w zgiełku i rozgwarze życia. Ten szuka szczęścia za furtą klasztorną, ów w walcu

upojnym na froterowanej posadzce salonu, inny u szynkwasu, a jeszcze inny w lupanarze! Dla większości jednak ludzi szczęście jest czemś materjalnem, co można wziąć w rękę, zważyć, obejrzeć, przymierzyć, ocenić!

Wymagają oni od szczęścia takich zalet, jakie mieć może tylko marynarkowy garnitur. A więc: powinno ono tanio kosztować, a być trwałem, odpowiedniem na świątek i piątek, wygodnem i—główny warunek—nie krępować ruchów.

Naiwni!—radca uśmiechnął się z politowaniem—zapominają, niestety, iż wszystko, co trąci materją podlega, uledz może, nawet musi—zniszczeniu!

Naiwni!—powtórzył radca, zapalając wonne trabuco. Według mojego zdania prawdziwe szczęście jednostki zasadza się na pewności jutra. Niech to jutro będzie złe lub dobre, pomyślne lub pełne zgryzot, pogodne lub burzliwe! Wszystko jedno, bylebym wiedział, jakiem będzie i kwita!...

Jednego wprawdzie przewidzieć niepodobna... Śmierć... To banalne zakończenie istnienia wszelkiej formy żyjącej...

Biorąc jednak rzecz ściśle śmierć jest tem złem nieuniknionem, które nie szczędzi

nikogo, więc usuwa powód do zazdrości, bo wiem, że dziś mnie, jutro kogo innego, za lat zaś kilkanaście lub kilkadziesiąt nas wszystkich ujmie w swe zimne, kościste ramiona! Tak... Poza tą śmiercią... tym wyjątkowym wypadkiem, wyłamującym się z pod ludzkich przewidywań... pewność jutra... świadomość, jakiem ono będzie—stanowi istotę szczęścia ludzkiego.

Naprzykład ja—analizował radca—jestem człowiekiem szczęśliwym, bo wiem doskonale, jakim będzie dla mnie dzień jutrzejszy i nietylko jeden dzień, lecz i dni następne... tydzień... miesiąc... r...

Tu wiatr, jak opryszek zaczajony, wyskoczył skądś z za węgła, sypnął garścią ostrych igieł mrozu w połyskującą twarz radcy, targnął jego szpakowatą, starannie przystrzyżoną brodą i wtłoczył mu z powrotem w usta napół wymówiony wyraz.

Zatrzymał się radca, odsapnął, wykrztusił—«psia kość!» i, pochyliwszy głowę, by łatwiej przebić powietrzną zaporę, chciał ruszyć w dalszą drogę, gdy nagle przypomniał sobie, iż tu właśnie, na tym rogu zajmuje posterunek, co noc, pewien żebrak, którego on stale, powracając do domu, zwykł obdarzać jałmużną.

— Czyżby zmienił locum?—szepnął radca, rozglądając się wokoło.

— A może... to... ów wyjątek...—myśl, jak błyskawica, przeszyła mózg radcy.

— Nie!... Nie!... Niepodobna...—zaprzeczył energicznie półgłosem. Dziad jeszcze krzepki, zahartowany i nie kaleka!

Tacy nagle nie zmierają!

To dziwne jednak... wczoraj jeszcze stał tu... żebrał... Może... odszedł na chwilę...

Mrużąc oczy, radca usiłował przejrzeć głąb pustej ulicy.

— Nic innego, tylko aresztowano go pewnie za żebraninę! Prześpi się w cyrkule i nazajutrz go puszczą! Zresztą, co mnie to obchodzi! Niema go, więc nie otrzyma zwykłego datku—sam na tem straci!

Radca skręcił w poprzeczną.

Daremnie jednak chciał nawiązać nić poprzednich rozumowań. Myśli plątały się bezładnie... przed oczyma stawała postać żebraka... w uszach trzeszczał bezdźwięczny, suchy, monotonny głos:

— Litościwa osobo!...

Od lat kilkunastu czy deszcz, czy zadymka, czy szaruga jesienna stał zawsze na jednem miejscu, zda się, nieczuły na zmiany atmosferyczne, apatyczny, z oczyma bez-

myślnie utkwionemi w drgający płomień latarni, powtarzając z jakimi kamiennym uporem, z jakąś monotonną zapamiętałością, dwa tylko wyrazy:—«litościwa osobo!»

— Co się z nim stać mogło? Dlaczego dziś właśnie go niema—irytuje się radca.

— A może upił się?... Ależ naturalnie... nieinaczej!... Użebrał więcej niż zwykle... natrafił na jakiegoś litościwego głupca i powlókł się do szynku... Pewnie już leży pod ławą!... Bydle! I bądź tu filantropem! Miej serce i rękę hojną! Lituj się nad nędzą... wspieraj... dawaj... a każdy twój grosz na szynkwas padnie!...

Powstałe w umyśle radcy przypuszczenie przeistoczyło się w pewność.

Wzburzony idzie szybciej... kroki stają się silniejsze, echem głośniejszym rozlegają się w cichej ulicy.

— Ileż to razy—przypomina sobie radca—gdy deszcz lał jak z cebra, lub śnieg, jak pierze wyprute z tysiąca poduszek, sypał gęsto, on, powracając do domu z resursy, kazał zatrzymywać się woźnicy, przywoływał żebraka i wręczał mu datek! Ileż to razy idąc pieszo nakładał drogi, aby wspomódz wydrwigrosza!...

— Głupia litość!... Bezsensowne przyzwyczajenie!... I dlaczego?... I poco?...

— Wprawdzie... przyjemna to rzecz, powróciwszy do własnego mieszkania we własnej kamienicy wejść do wytwornej sypialni, odpocząć przez chwilę w wygodnym fotelu, wypić szklankę «Vichy», położyć się do łóżka i pomyśleć:

— Jak tu ciepło... mile... spokojnie... A tam... na ulicy... tamten drży z zimna... kostnieje...

Cisza... Zegar cyka monotonnie... Żaden szmer nie dolata... Błogi nastrój... A tam... na ulicy... tamten chucha w dłonie... drepce na miejscu, bo chłód łachmany przeżera, w ciało się wpija, kości nawskroś przenika...

Oto... sen zwolna obezwładnia... ciągłość myśli rozwiewa... oczy przymyka... Jeszcze kilka ostatnich poruszeń nogami, aby ułożyć się wygodniej... ziewnięcie jedno... drugie... jeszcze jakieś wspomnienie z dnia ubiegłego i... spokój... cisza... sen pokrzepiający... długi... równy... A tam... na ulicy... tamten senność natrętną odgania, bo w oddali czyjeś kroki... dąży przechodzień... może się wzruszy... może zatrzyma się... sięgnie do portmonetki... wetknie

w dłoń zziębniętą kilka groszy... nie odmówi jałmużny...

Przyjemna to rzecz módz sobie przed snem tak pomyśleć i los swój z dolą tamtego porównać!...

I właśnie dzisiaj!...

Przystanął radca... zawahał się... zawrócił...

Taki piękny wieczór! Powodzenie sprzyjało w kartach jak nigdy... rumsztyk kolacyjny stanowczo na świeżem był maśle, mecenas zawiadomił o pomyślnej decyzji senatu... ten wreszcie problemat o szczęściu...

Gdzież się u licha ten żebrak zawieruszył?!

Na zakręcie ulicy zamajaczyła w świetle latarni jakaś zgięta postać...

— To on! — prawie krzyknął radośnie radca.

— Pss!... Pss!... Pss!

Nie słyszy widocznie, bo mija... znika...

— Błazen! — sarknął radca. Myśli może, iż gonić za nim będę! Idjota!

I mimo to przyśpiesza kroku... biegnie prawie, sapiąc ciężko!

Jeszcze kilka kroków. Zziajany radca zatrzymuje się, mierzy oczyma odległość...

— Pss!

Postać staje, ogląda się, zawraca i zbliża się do nawołującego.

Gorzkie rozczarowanie!

To nie żebrak, lecz stróż nocny.

— Psia kość!—zaklął radca, ocierając pot z czoła. Daremnie-m się zmęczył.

— Czy pan na mnie?—zapytuje stróż.

— Nie... to jest... właściwie... zdawało mi się...

— Aha!

— Widzicie, mam krótki wzrok i zdaleka naturalnie... źle widzę... W każdym jednak razie dobrze, żem was spotkał, gdyż zapytam... Musicie zapewne znać tego dziada, który ot tam... przy murze... zwykle żebrze...

— Tam?—wskazuje stróż głową.

— Tak... tak... stary... z długą brodą siwą... Nie wiecie, dlaczego dziś go niema? Co?

Coś, jakby ździwienie przemknęło po bladej wychudłej twarzy zapytanego.

— Nie wiem—wzruszył ramionami. Wczoraj był... pozawczoraj też... co noc bywał...

— A tak... co noc, lecz dziś właśnie...

— Nie przyszedł—dokończył stróż.

— Nie przyszedł—potwierdził radca.

— A niby... dlaczego... pan się o tego dziada troszczy?—zapytał stróż, nie mogąc snadź przezwyciężyć ciekawości.

— Dlaczego?—powtórzył radca zapytanie i spojrzał badawczo na stróża.

— Prawda—pomyślał—on ma rację! Dlaczego ja się troszczę o tego żebraka?

— Człowiek, widzicie, ma serce—odparł po chwili—współczuje, żal mu nędzy... Przecież wszyscy jesteśmy bracia, synowie jednej matki-ziemi, na nas możniejszych leży obowiązek wspierania uboższych... Każdy, co może... powinien, rozumiecie, dopomagać...

— Niby to tak... Wielmożny pan świętą prawdę powiada... tylko, że nie zawsze ten, co rękę wyciąga jest najbardziej potrzebujący... Na ten przykład... on—ręką w stronę muru skinął—ma się lepiej... ho! ho! i jak lepiej, niż ja... a kto wie!... lepiej może, niż pan!...

— No... no...—roześmiał się nieszczerze radca, i splunął jednocześnie, bo mu do ust jakaś paląca gorycz spłynęła.

— Wiem, co mówię... znam go dobrze... W dobrą noc—bywa-że i dwa... trzy ruble uzbiera... a sam... samiutki na świecie... Ja dzieci mam czworo i żonę słabowitą... połowy tego, co on, nic nie robiąc, wyżebrze... nie zarabiam... To też u mnie bieda, aż piszczy, a on... na pożyczkach ma pieniądze i gruntu kawał pod miastem... Bogacz i tyle!

— Głupstwa pleciesz!

— Jak zbawienia duszy pragnę, nie kłamię!...

— To czemuś łotra nie zaaresztował?

— Człowiek, proszę łaski pana musi żyć... mnie zaś nikt nic nie da, a on czasami złotówczynę rzuci!... Tak... wstyd się przyznać, boć to żebrak... dziad... łachmaniarz... Ale pieniądz czy dziadowski, czy hrabski jednakową ma wartość...

— I pewnie źre dobrze... pije?—warknął rozwścieczony radca.

— A co ma sobie żałować? Przecie go stać na to...—jątrzył nieświadomie stróż.

— I może pod łachmanami nosi watówkę?

— Pewnie, że nosi...

Krwią nabiegły źrenice radcy.

— A czy ty wiesz... ty, wspólniku oszusta, że ja ciebię z posady wyrzucę! Na bruk...—syknął głosem zdławionym.

— Za co?—wyszeptał przerażony stróż.

— Bo mi się tak podoba... rozumiesz! Dlatego, że chcę... rozumiesz... tak na bruk... precz!

Radca zatoczył się jak pijany i odszedł...

— Łotr!... Łotr!—bełkotał co chwila.

Gdyby mu teraz wskazano miejsce, gdzie tego żebraka spotkać może, gdyby mógł za cenę majątku nabyć prawo do życia i śmierci tego człowieka, nie zawahałby się ani na moment. Obdarłby go z łachmanów, przykułby go do muru, przy którym zwykle stawał, rozkoszą poiłby oczy, patrząc, jak ciałem jego wstrząsa dreszcz zimna, jak kostnieją członki, jak mróz i wicher szarpią skórę...

Więc wtedy, gdy zasypiał w wygodnem łóżku, gdy rozkoszował się subtelnem ciepłem wygrzanego płótna, gdy sądził, że tam... na ulicy... tamten musi stać, drżeć i kostnieć... ten nie musiał, lecz chciał... robił to z własnej woli dla zysku!

A łotr!...

— Prawdziwe szczęście zasadza się na pewności jutra...—zadźwięczały radcy w uszach jego własne słowa.

Zżymnął się, targnął, zacisnął kurczowo rękę, którą trzymał w kieszeni.

Syknął, jakby mu kto dłoń ukropem oblał, bo poczuł w niej sześciogroszówkę, przeznaczoną dla żebraka.

O dwa grosze więcej niż zwykle, wieczór bowiem dzisiejszy był piękny, szczęście

w kartach sprzyjało, rumsztyk smakował, jak nigdy, mecenas wreszcie...

— A łotr!—syknął radca i miedziak, rzucony gwałtownie, zadzwonił jękliwie na chodniku, zatoczył koło i wpadł do rynsztoka...



HOŁOTA.

Krzyk straszny, rozpaczliwy przeszył ciemnię nocy, rozdarł całun ciszy i strącił sen z powiek mieszkańcom trzypiętrowej kamienicy.

W oknach zabłysły mdłe światła lamp i świec, rozległ się skrzyp i brzęk gwałtownie otwieranych lufcików.

Skrzyżowały się pytania, domysły i nawoływania.

— Co się stało?

— Mordują kogoś!

— To ta hołota z sutereny!

— Stróżu! Stróżu!

— A to snem kamiennym śpi, kanalja!

Po chwili ukazał się w bramie rozespany stróż.

Zadzwonił kluczami, wstrząsnął się, splunął i stanął bezradnie, jakby nasłuchując skąd go głosy dochodzą.

— A tam co?—rzucił pytanie w głąb podwórza.

— Ty mnie pytasz?—huknął w odpowiedzi bas z pierwszego piętra. Czy ja, czy ty stróżem jesteś w tym przeklętym domu? Dobry sobie! Mnie pyta! Cymbał!

— Miejcież Boga w sercu, Józefie!—pisnął przeraźliwie dyszkant z parteru. Tam... ktoś... kogoś zarzyna!...

— Kiedy bo... nie wiem...—usiłował tłumaczyć się stróż.

Krzyk wybiegł znowu...

— Ruszaj-że błaźnie!—wrzasnęło drugie piętro.

Stróż wolnym krokiem podszedł ku oknu sutereny, drgającemu krwawą plamą tuż nad powierzchnią podwórza.

Pochyliwszy się, zajrzał wewnątrz...

Wyprostował się szybko, przeżegnał...

— Nic się nie stało! Niech-no państwo śpią spokojnie! Posłaniec jeno, co tu mieszka, musi być skonał, a wdowa, zwyczajnie, jako żona ślubna, zawodzi...

— Ach!—dyskant zatrzasnął okno.

— Z ostatnim kursem wyruszył—sypnęło dowcipem trzecie piętro.

— Mógłby zatrzymać się do rana—wpadło w ton drugie.

— Umarł... no to umarł... i kwita!—odsapnął lżej bas. Ale co za sens krzyki po nocy wyprawiać, ludzi w całym domu budzić i trwożyć! Przecie już nie zmartwychwstanie! Hołota!

Ostatnia uwaga snadź trafiła do przekonania stróża, bo—nachyliwszy się—zapukał w szybę.

— Michałowa! Michałowa. Cichojta! Lokatory się gniewają. Noc dyć szczera, a wasz lament tyle, co kadzidło nieboszczykowi pomoże. Zmówta lepiej pacierz, litanję do Matki Boskiej Pomocy Nieustającej, bo dusza grzeszna pewnikiem ratunku potrzebuje i męk piekielnych się stracha!

— Wszystkim nam koniec jednaki—filozofował odchodząc. Wieczny odpoczynek racz mu dać... zaczął mruczeć niewyraźnie...—a światłość wiekuista—ziewnął głośniej...—niech mu świeci... Boże, bądź miłościw grzesznej duszy mojej... i bijąc się piersi, zniknął w drzwiach swego mieszkania.

I znów cisza zaległa podwórze trzypiętrowej kamienicy.

Pogasły światła...

Spłoszony sen powrócił...

. . . .

W suterenie na nędznem posłaniu tężał trup...

Chwiejnym płomieniem iskrząca się u wezgłowia gromnica, rzucała dziwne refleksy na wykrzywioną cierpieniem i zastygłą w kurczu ostatnim twarz posłańca.

Światło, ślizgając się po zaciśniętych ustach i po w pół przymkniętych oczach, dawało złudzenie, że oto drgają powieki i poruszają się wargi, że dość będzie wytężyć słuch, aby usłyszeć jęk lub westchnienie, w krtani niemocą więzione.

Zdawało się, iż piersi wznoszą się jeszcze, iż życie nie uszło bezpowrotnie, lecz toczy zaciętą, choć beznadziejną walkę z tą nieubłaganą niszczycielką istnienia, która tchnieniem lodowem ścina krew w żyłach i jej barwę purpurową pokrywa warstwą popiołu!...

Lecz oto ręce zwisły bezwładnie...

Ciężkie, ściegami żył sinych, wzdętych poznaczone ręce!

Pięcioro drobiazgu ustami do tych rąk przylgnęło, pocałunkami ogrzać je pragnie, łzami parzy!

A w nogach bije głową o poręcz łóżka, tłucze skronią matka.

Z rozpaczliwym uporem zwraca spojrzenie na zastygłą w cierpieniach twarz męża, zda się, nie mogąc i nie chcąc uwierzyć, że on ją porzuca, że rozstaje się z nią, matką tych pięciorga wynędzniałych dzieci.

— Michał! Michał!—jęczy—z pięciorgiem drobiazgu mnie ostawiasz! Słyszysz, Michał!... z pięciorgiem... Jezu!

Ból ją żre; trzewia szarpie...

Tłumi jednak jęki, coraz ciszej się skarży, bo... lokatorzy sie gniewają... noc szczera... gospodarz może jutro dachu nad głową pozbawić... z pięciorgiem drobiazgu na ulicę wyrzucić!...

. . . .

Woźnica cmoknął, szarpnął lejcami—karawan ruszył.

Z kościelnej wieży zadudniały dzwony.

Ostatnie pożegnanie dzwonią!

...Słyszysz, posłańcze! Słyszysz, jak pilno tym dzwonom rozstać się z tobą?

...Grałyby ci one pieśń uroczystą, biłyby łzami w miejskie mury, skargą rzewną ulatałyby w przestworze... gdyby wieńce liczne pokrywały trumnę, a głownie wonne dymiły w rękach żałobników, gdyby sznur pojazdów w stępie poważnym posuwał się za orszakiem, a poczet księży słał modły na

tarczywe ku Wszechmocnemu i wszędzie Obecnemu!...

...Słyszysz, posłańcze! Cichną już dzwony, kędyś w echu konającem rozpływają się dźwięki, bo...

— A przestań-że dzwonić tej hołocie!— krzyknął zakrystjan do dziada kościelnego. Może myślisz, że coś zarobisz? Podziel się z djabłem: grzechu mieć nie będziesz...

Dudnią koła karawanu po nierównym bruku...

Koń truchtem bieży, bo widzi, że sam tylko jest w zaprzęgu, czuje, iż nie cięży mu kapa, galonem srebrnym lamowana.

Mądra to, doświadczona szkapa! Od tylu lat ułatwia żywym pozbycie się z domu tych, co swą wędrówkę doczesną ukończyli, więc rozumie, iż dziś zbytecznym będzie stęp uroczysty, powaga niepotrzebna...

Za karawanem drepce drobiazg, ledwie nadążyć może!

Co raz to jedno, to drugie obejrzy się na matusię, jakby pragnąć zapytać, czemu to tatę tak szybko wiozą?

Matuś jednak nie widzi, ani karawanu, ani trumny, ani dyszącego ciężko ze zmęczenia drobiazgu...

Matuś teraz oblicza w myśli, ile jej pozostało jeszcze z tych dwóch rubli, które dzisiaj w lombardzie za trzy poduszki otrzymała...

A gdy już to matuś obliczy, medytować pocznie, gdzieby tu nająć się do prania, do kogoby udać się po wsparcie, w jaki sposób znaleść zarobek, aby módz kąt opłacić i z głodu nie zamrzeć...

Mija karawan ulicę za ulicą.

Przechodnie obnażają głowy, żegnając, odchodzącego w lepsze światy bliźniego.

Ten uchyli kapelusza, inny ledwie dotknie ronda, ów głową tylko skinie, niejeden nawet nie zauważy pogrzebu...

Nikt się nie zatrzyma choćby na chwilę, rzadko kto westchnie pobożnie, nikogo nie skusi ciekawość, by zejść z chodnika, zbliżyć się do trumny, odczytać na blasze nazwisko tego, co ustąpił z szeregu walczących o byt...

Nikt dowiedzieć się nie pragnie, wiele lat żył nieboszczyk, kiedy na świat przyszedł, kiedy zasnął w Bogu?

Poco? Naco?

Karawan jednokonny, trumna drewniana, pospolita, pogrzeb bez księdza, bez pompy... ot!... ktoś z hołoty!...

Deszcz kropić zaczyna. Drobny... gęsty deszcz...

Perłami łez opada na trumnę, ważkiemi smugami z wieka spływa.

Woźnica podciął konia...

Ten, któremu za życia pospiech nakazywano, kłusem ze świata odjeżdżał...

. . . .

— Michał!... Michał!... Z pięciorgiem drobiazgu mnie ostawiasz!... Słyszysz?... Z pięciorgiem...

Zajęczała głucho trumna pod naporem brył rozmiękłej gliny. Zatrzeszczały deski, zahuczało wieko...

Głuchy, beznadziejny jęk wybiegł z wnętrza mogiły...

Może to odpowiedź na to straszne:— słyszysz?

Może to ostatnie, ciężkie westchnienie zatajone kędyś w sercu w ostatniej chwili skonania?

Może skarga okrutna, może prośba o przebaczenie, może ostatni przejaw protestu przeciw woli Tego, co wolną wolą obdarza...

Coraz ciszej... coraz głuszej jęczy wnętrze mogiły...

To, co z ziemi powstało—ziemia zabiera z powrotem, silnymi uściski obejmuje, zazdrośnie ukrywa...

— Michał!... Michał!... Ulituj się ty nademną!

Rośnie mogiła...

Grabarzowi żyły na skroniach od wysiłku nabrzmiały, czoło pot zrosił...

Nawykły do rozpaczy, klątw, łez i złorzeczeń tych, co tu swych najbliższych żegnają, z jakąś dziwną zaciętością co chwila rydel w glinie zagłębia, rzuca bryły, buduje wiernie mieszkanie...

Pracuje...

Skończył wreszcie, zatknął blachę, pot rękawem z czoła otarł.

Czeka... Patrzy natarczywie...

Odczuła to spojrzenie wdowa, odczuli wszyscy obecni...

Odchodzą na bok.

Powstaje z klęczek i ona, ostatni raz westchnęła, ostatnie łzy z oczu trysnęły.

— Nie macie już tatusia! Chodźcie nieszczęśliwe sieroty—szepnęła do dzieci. Lecz szeptem tym tłumaczyła się przed grabarzem, który na datek czeka i patrzy na nią tak natarczywie.

Nie wzruszyło go to jednak. Ze złością czapkę na czoło nasunął, splunął i w ślad odchodzącej rzucił:

— Hołota!

. . . .

— A to ci pogoda! Człek zziąbł jak—nie przymierzając—pies! Michał, świeć Panie nad jego duszą, to już ta nic, nieborak, nie czuje!—odezwał się do wdowy jeden z tych, co uczestniczyli w pogrzebie.

— Aj, nie czuje... nie czuje!—westchnęła ciężko sąsiadka z sutereny. Ale co ziąb, to ziąb! Zupełnie jak w listopadzie, choć to dopiero wrzesień... Już to kilka lat z rzędu takie chłodne jesienie... Na ten przykład... pamięta pan panie Wojciech... w zeszłym roku o tej porze chowaliśmy maglarza... kubek w kubek taki był ziąb... skostnieliśmy wszyscy... Ja nawet, co nie jestem pijąca, musiałam coś ze trzy pieprzówki przełknąć i ledwiem przyszła do siebie...

— Trza gdzie wstąpić... rozgrzać się...—dorzucił ktoś inny. A właśnie wychodzili z za wrót cmentarza, uważali więc, że już należy napomknąć wdowie o «serku».

Zrozumiała to Michałowa, zbytecznie zresztą przymawiali się...

Toć ona przez całą drogę od samej mogiły tylko o tem myślała. Żal bo żal jej serdecznie kilku złotych, co się tłuką w kieszeni, ale jakże tu nie ugościć tych, którzy po

deszczu, po słocie dreptali za trumną, oddając ostatnią przysługę nieboszczykowi?

Marny ci on miał pochówek—bez księdza, bez podzwonnego na cmentarzu, bez «Salve Regina» nad grobem—wola Boska! Niechże przynajmniej w pamięci ludzkiej sponiewierany nie będzie! Zostały się tam po nim jakieś rzęchy jeszcze — to je sprzeda jutro i z dzieciakami dni kilka przebieduje.

— No, to gdzie wstąpimy?—zwróciła się do kumy.

— Byle gdzie! Mnie to wszystko jedno, aby się rozgrzać.

— Matuś!... i ja głodny...—pociągnął za spódnicę któryś z chłopców.

— Zaraz, sieroto, zaraz.

Po chwili obsiedli stół w jednej z okolicznych piwiarni. Na stole zjawiła się wódka, zakąski i piwo.

Michałowej aż słabo się zrobiło, gdy pomyślała, ile będzie musiała za to zapłacić. Łzy nawet z żalu jej pociekły, co obecni przyjęli za nowy przypływ rozpaczy po stracie męża.

— Uspokój się, kuma!—zaczęła pocieszać sąsiadka. Bóg dał—Bóg wziął! Niech się dzieje wola Jego przenajświętsza! Ale kogo Bóg stworzy—tego nie zamorzy; wychowacie przy

Jego pomocy sieroty — nie bójcie się! No, stuknijmy się!

— A to się wie!—potwierdził Jakób, kolega nieboszczyka. Mało to na świecie wdów ostaje i jakoś se żyją! Prawda, z początku musi być i markotno, i ciężko kobiecie samej i jeszcze z takim drobiazgiem, aleć wszystko w ręku Wszechmocnego!

— I pamięta On, pamięta o każdej biedocie! — odezwał się szwagier Michałowej. Moja ciotka—nie przymierzając—jak chowała swojego pierwszego męża, miała ośmioro—wszystko drobiazg, bo u nich—jak to mówią, co rok, to prorok! A była przytem słabowita... Serce się krajało, — gdy człowiek spojrzał! Kto czem mógł, każdy z familji pomagał, ale dziewięcioro żołądków zapchać nie łatwo, to też bieda aż piszczała. Zdawałoby się, że kobieta zmarnieć musi... Gdzietam! Jakoś w miesiąc, czy dwa najmłodsze z dzieciaków zmarło na szkarlatynę, w kilka tygodni potem dwoje na dyfteryt, potem znów dwoje na szkarlatynę, po roku zaś zostało tylko jedno, chłopak najstarszy. A tu podwinął się ślusarz, wdowiec bezdzietny, pobrali się i dziś ho! ho! żyją, jak państwo! Ciotki to-by nikt nie poznał—roztyła się jak fasa!

— No, nie każdemu los jednakowo się uśmiecha — sentencjonalnie zauważyła sąsiadka. Choćby tam Bóg litościwy żadnego dziecka waszego, Michałowo, do chwały Swojej nie powołał, czuwać zawsze nad wami będzie! A mąż to i tak trafić się może...

— Czy mi to w głowie! - zaprzeczyła. Takiego jak Michał już nie znajdę! Oj! nie...

— Niech no, kumcia, tak znowu nie mówi! Dwóch słów niema: dobry był, pracowity, ale jak sobie czasem podpił—brewerje wyprawiał i kumcię też, bez urazy mówiąc, prał!...

Rozmowa potoczyła się wartko. Smutek ustąpił miejsce nadziei i wierze, jeśli nie w pomyślne, to przynajmniej w znośne jutro.

Co raz to mniej mówiono o nieboszczyku.

Żywi już zaczęli zapominać o tym, którego przeznaczenie wycofało z ich szeregu.

Choć tam nad świeżą mogiłą nikt nie rzucił miedziaka grabarzowi, tu każdy na swój rachunek zamawiał to wódkę, to piwo...

Gwar wzrastał.

Już się nawet śmiech rozlegał.

. . . .

Wieczór był zapadł, gdy opuścili piwiarnię...

Smagane deszczem i wichrem żarte drzewa cmentarne, zda, się, szlochały żałośnie.

Na grzęzką ziemię z szumem beznadziejnym padało zerwane z gałęzi listowie...

Za Michałową, człapiącą z dziećmi do miasta po rozmiękłej drodze, echo niosło, po raz Bóg wie który wyrzeczone dzisiaj:

— Hołota!

Pożegnał ją w ten sposób biedak usługujący w piwiarni, nie otrzymawszy ani grosza napiwka.



NIECH NIE WIE PRAWICA...

Podbiegł do gromadki towarzyszów, gwizdnął przeraźliwie, wywrócił kozła i stanąwszy roześmiał się z zadowoleniem.

— Widzicie, flaki z olejem!

— To ty, Michał? Puścił cię? Dałeś mu co w łapę?—posypały się pytania.

— A jakże! Taki ci puści! Co miał puszczać? Sam zwiałem!—odpowiedział zadyszany i rozpromieniony.

— Gonił mnie—opowiadał dalej—cłapał pedałami, aż asfalt stękał, darł się: «dzierży! dzierży!» A już! Głupi kto łapać! Frajer, flaki z olejem! — splunął pogardliwie na zakończenie.

— Ale numery zabrał?

— No nie?—pytaniem na pytanie odrzekł Michaś i w jednej chwili odbiegła go wesołość.

Odzyskał wprawdzie wolność, utracił jednak możność zarobkowania; pięćdziesiąt

egzemplarzy gazety pozostało w rękach policjanta. Zaszkliły się łzy Michasiowi.

— Antek! pożycz czterdziestaka...—szepnął błagalnie.

— Czego? Perskie oko znasz?

— Wieczorem ci oddam, jak rany...

— Idźże, bo ci krzywdę zrobię!...

Inni świadkowie tej zwięzłej rozmowy dyplomatycznie odeszli, obawiając się słusznie, że Michał może i do nich się zwrócić z prośbą o pożyczkę.

— Syp do redakcji, powiedz, jak było, to dostaniesz na kredyt—poradził któryś.

— Gadaj głupiemu, nie mnie... flaki z olejem!...—westchnął Michaś, zwiesiwszy smutnie głowę.

Tak bardzo liczył na dzień dzisiejszy, kupił nawet więcej numerów, niż zwykle, bo to i niedziela i pogoda piękna, jak rzadko!

Kiedyż zarobić, jeśli nie przy święcie? Trzeba tylko umieć, a Michaś... ho! ho!... Inny w ciągu całego dnia tyle nie sprzeda, ile on w kilka godzin!

Może ma i szczęście, lecz pozatem i umie. Wprawnem okiem potrafi wyszukać wśród tłumu, przelewającego się ulicą, takiego przechodnia, co i gazetę kupi i często reszty z dziesiątki nie zażąda! Zazdroszczą mu też

powodzenia wszyscy chłopcy, zazdrości nawet ów Antek którego prosił o pożyczkę, choć to również majster nielada i posiada wielu swoich stałych kupujących.

Oparł się Michaś o mur, włożył ręce w kieszenie, nadrabia miną, aby nie wybuchnąć płaczem...

Niby nie patrzy w stronę towarzyszów, ale mimo to widzi, że to ten, to ów sprzedaje gazety, odczuwa, że zadowoleni są z przygody, jaka go spotkała, ubył im bowiem niebezpieczny konkurent.

Przemyśliwa nad tem, skądby tu wyrwać ze dwa złote, aby choć stratę dzisiejszą pokryć...

Wie dobrze, co go czeka, gdy powróci do domu wieczorem nietylko bez zarobku, lecz i bez pieniędzy.

— Stary, flaki z olejem, – myśli o ojcu — nie uwierzy w przygodę z policjantem. Jak Bóg w niebie powie, żem w guziki przegrał... A wtedy!... rany, co za bicie!...

— Żebyś zmarniał! — zaklął pod adresem stójkowego.

Medytuje tak Michaś, a słońce, jak na złość, coraz jaśniej świeci, coraz lepiej grzeje, a na ulicy coraz tłumniej i gwarniej.

— Mój Boże! Jakby to dzisiaj szła sprzedaż! Ani chybi, przyniósłby do domu więcej niż rubla i na obiadby sobie nie żałował: pół funta kiełbasy... jak nic! Apetyt ma...

— A bodajbyś skisł!—splunął.

— Wiesz, Michał, już ci, bracie, piętnaście numerów spuściłem!—zawołał doń z ulicy Józiek.

— Łżesz!

— Co mam łgać? A no patrz! Było wszystkiego dwadzieścia — teraz w garści tylko pięć!

— No to co? Czego chcesz?

— Co mam chcieć?!

— To, poszoł, pędraku!—krzyknął Michaś i odszedł w przeciwną stronę.

Zirytowało go nie na żarty, iż nawet taki Józik zdołał w któtkim czasie sprzedać tyle numerów, choć zwykle dłużej od innych gazetę piastuje.

Idzie Michaś osowiały. Nic go nie zaciekawia dzisiaj. Czasem tylko zatrzyma się przy oknie wystawowem wędliniarni lub sklepu spożywczego, popatrzy na specjały tak pożądliwie, że aż w kiszkach orkiestra pułkowa mu zagra, westchnie, zaklnie, splunie przez zęby i rusza dalej.

Dokąd?

Czyż on wie dokąd? W każdym razie nie tam, gdzie mieszka, bo lanie i tak go nie ominie, im zaś później, tem lepiej!

Piękny dzień!

Ruch na ulicach olbrzymi. Spacerują ludziska. Ci do kościołów śpieszą, tamci wyświeżeni i wystrojeni, jakby na pokaz chodzą, owi za miasto kierują swe kroki, aby odetchnąć tem, czego w kilkuwiorstowym promieniu szukać daremnie, tak zwanem świeżem powietrzem, inni zaś, mniej wybredni idą do parków i skwerów miejskich, gdzie i świeżego... kurzu i ławek poddostatkiem! Do jednego z takich parków zawędrował bezwiednie i Michaś.

Nauczony doświadczeniem przemknął chyłkiem, ukrywając się przed czujnem okiem stróża, pilnującego u bramy, aby tylko porządna publiczność wydeptywała ścieżki w parku. Każdego innego dnia byłby zadowolony, iż udało mu się to tak szczęśliwie. Nie dziś jednak...

Nie poszedł nawet w głąb alei, lecz usiadł na brzegu pierwszej lepszej ławki, tuż przy sztachetach, okalających park i zadumał się głęboko nad niepowodzeniami, jakie prześladowały go w tym dniu takim pięknym, słonecznym...

— Bodajeś zgnił!—szepce raz po raz, przypominając sobie wszystkie szczegóły wypadku z policjantem.

Sprzykrzyło się wreszcie Michasiowi, nawykłemu do bezustannego ruchu, bezczynne siedzenie na jednem miejscu.

Powziął był zamiar wstać i powrócić skąd przyszedł, aby raz jeszcze popróbować szczęścia, bo może Antek zmięknie i pożyczy na kupno kilku egzemplarzy... gdy nagle spojrzenie jego padło na jakieś przykładne stadło małżeńskie, co z dwojgiem dziatek na przodzie, szło powoli, środkiem alei.

Twarz mężczyzny nie była obcą Michasiowi.

Widywał gdzieś tego pana...

Musiał go często spotykać...

Ale gdzie?

Zaczął szukać w pamięci...

— A no... chyba, że to ten...—przypomniał sobie, lecz nie będąc pewny swego, postanowił przyjrzeć się lepiej.

Zerwał się więc szybko, pobiegł, minął parę małżeńską, zatrzymał się, spojrzał...

— Tak! To on!

Przed rokiem, gdy Michaś nie trudnił się był jeszcze sprzedażą gazet, lecz przez całe dnie do późnego wieczora zbijał bąki

na podwórzu, ów jegomość przychodził stale o zmierzchu, wyczekując na pewną panienkę, która w tym domu szyła w pracowni sukien. Często—znudzony snadź oczekiwaniem—posyłał Michasia na górę, aby wywołał pannę Klimcię, a za fatygę nigdy mniej, niż dziesiątkę nie dawał.

Tak. To on.

Owa Klimcia jest pewnie najstarszą córką tego pana, bo przecież Michaś na własne uszy słyszał, że mówił do niej:

— «Aniołku»! albo «Dziecinko!»

Dobry musi być człowiek.

A może zaczepić go... przypomnieć się... opowiedzieć wypadek z «burym»...

Kto wie? A nuż da czterdziestkę?... A może i dwa złote?...

Waha się Michaś..

A jeżeli zwymyśla?...

E... chyba nie... kupić... nie kupić... potargować warto...

Zresztą, choćby i zwymyślał... to i cóż nadzwyczajnego?

Czy to Michasiowi pierwszyzna?

Wielkie rzeczy! Korona przecie z głowy nie spadnie!

Zbliża się więc Michaś... Zdaleka już czapkę zdjął...

— Moje uszanowanie jaśnie panu!

— A to co znowu? Czego chcesz, łobuzie?—huknął jaśnie pan—zły, że mu ktoś, jakiś żebrzący wyrostek przerwał piękny wykład o demoralizacji, szerzącej się wśród dziewcząt miejskich ze sfer niższych, którego to wykładu z takiem zaciekawieniem słuchała małżonka.

— To jaśnie pan mnie nie poznał?—roześmiał się Michaś, bynajmniej nie roszcząc urazy za epitet łobuza.

— Ja? Ciebię?

— A tak.

— Ładne posiadam stosunki? Co?—zwrócił się pan do małżonki swojej, uśmiechając pod wąsem. No powiedz mi, gdzież to miałem zaszczyt być tobie przedstawionym? Skąd się znamy?

— Jaśnie pan nie pamięta?

— Wyobraź sobie, że nie przypominam...

— A w przeszłym roku na Instytutowej...—usiłował dopomódz pamięci jegomościa Michaś.

— Na jakiej Instytutowej?

— O! Toć jedna jest tylko w Kijowie! Nie pamięta jaśnie pan... co wieczor pod jedenastym numerem... to ja zawsze chodziłem, aby wywołać...

— Aha! To ty!—przerwał mu gwałtownie jegomość, zarumieniwszy się zlekka.

— Doskonale... doskonale... przypominam sobie...

— Znasz go, kotusiu?—wtrąciła się do rozmowy małżonka.

— Wybornie, moja duszko, wybornie! Jak się masz? Cóż u was słychać teraz? Jakżeż tam matka się miewa?

Michaś spojrzał zdumiony na jaśnie pana.

— Przecież moja matka już bardzo dawno umarła! Na Bajkowej leży...

— Pra... prawda—wyjąkał jegomość—mówiono mi... tak... na Bajkowej... w tej... alei... zielonej... No, ale ojciec zdrów? Co?

— O! Stary to zdrów proszę jaśnie pana! Ja to odrazu jaśnie pana poznałem—chwalił się Michaś—odrazu... ledwiem zobaczył!

— Bardzo się cieszę!—bąknął jegomość, wzrokiem bazyliszka patrząc na chłopca.—To bardzo dobrze, żeś mnie poznał, mój chłopcze, bardzo... bardzo dobrze mój... Adasiu...

— Nie... Michaś...

— Tak... tak... prawda, mój Michasiu! Masz... weź—sięgnął skwapliwie do portmonetki—masz rubla za to, żeś mnie poznał i zaraz... idź do domu... Pozdrów ode mnie

ojca i matkę... prawda... matka na Bajkowej leży... więc jej możesz nie pozdrawiać... to jest... co to ja chciałem powiedzieć?... No... już nic więcej... Do widzenia!

Michaś osłupiał! Rubla dostał! Pierwszy raz w życiu zapomniał języka. Nie zdążył nawet podziękować, bo jegomość przyśpieszył kroku i znikł już wraz z małżonką w tłumie.

— Flaki z olejem!—krzyknął radośnie Michaś, oprzytomniawszy ze wzruszenia i w cwał ruszył do redakcji po gazety. Nie miał czasu ani chęci zastanawiać się, dlaczego jaśnie pan zapytywał go o matkę, która już tak dawno umarła, że Michaś jak przez mgłę przypomina sobie jej pogrzeb na Bajkowej górze, płacz starszej siostry nad grobem i smutek ojca, dlaczego wreszcie interesował się zdrowiem starego, skoro go przecie nigdy na oczy nie widział!

W tej chwili Michaś był tak szczęśliwy, tak olśniony szczodrością jaśnie pana, iż nie uderzyła go wcale obojętność, z jaką ów potraktował wspomnienia o spotkaniach wieczornych z Klimcią.

Żałował tylko Michaś, że nie «machnął w mankiet» jaśnie pana, że nie podziękował

mu jak należało za tak hojny datek, że nie zapytał o zdrowie panny Klimci...

Był moment... chciał pobiedz z powrotem, dogonić i spełnić to, co uważał za swoją powinność.

Lecz nad uczuciem wziął górę rozsądek. Na wyrazy wdzięczności zawsze dość czasu, do redakcji zaś można się spóźnić.

Zaniechał więc Michaś zamiaru, stłumił uczucie, a równoważnik energji poświęcił na przyśpieszenie biegu...

Pomiędzy małżonkami zaś, gdyby kto był ciekaw, mógłby podsłuchać następującą rozmowę:

— Skąd znasz tego chłopca, kotusiu? — pytała żona.

— Widzisz, duszko... jakby to ci powiedzieć... Czy ja tobie istotnie nigdy nie mówiłem o tem?

— Nigdy, kotusiu...

— I nie mylisz się?...

— Jak cię kocham, kotusiu, nigdy...

Małżonek chustką wytarł spocone czoło i dostał gwałtownego napadu chrząkania...

Gdy atak minął, usiłował nawiązać rozmowę do tematu, rozwijanego przed spotkaniem z Michasiem, lecz małżonka szepnęła:

— Bardzo mi się podobał ten... Michaś... opowiedz kotusiu...

Kotuś wzruszył ramionami...

— Ot chłopiec... jak chłopiec... podobny do tysiąca innych... Nie rozumiem, co w nim podobało się tobie?

Nagle, rozjaśniwszy twarz, dodał:

— Zresztą może masz słuszność... sympatyczny chłopak... dziwię się jednak, że nigdy tobie nie mówiłem...

— A nigdy, kotusiu...

— Bo, widzisz, ja z zasady nie lubię... skoro jednak chcesz wiedzieć koniecznie... Otóż... tak... Kiedyś w wykazie Towarzystwa Dobroczynności przeczytałem wiadomość, że polecają miłosierdziu... uważasz... duszko... wdowca z dziesięciorgiem drobnych dzieci, z tych dwoje jeszcze przy piersi...

— Na Instytutowej pod jedenastym numerem?

— Tak, duszko... pod jedenastym... i ja właśnie zająłem się losem nieszczęśliwego człowieka... ojca tego właśnie Adasia... to jest... chciałem powiedzieć... Michasia!

— Jakiś ty szlachetny, kotusiu! I nawet mnie nie powiedziałeś... nie zwierzyłeś się... brzydalu!

— Z zasady, duszko... z zasady... Niech nie wie prawica...

Głośne okrzyki rozbawionej dziatwy zagłuszyły dalszy ciąg rozmowy małżonków...

Był piękny dzień... słoneczny...

Świąteczny...



PO RAZ OSTATNI...

(Utwór, zaszczytnie odznaczony na konkursie »Kurjera Porannego«).

Promień słońca, jak natręt ciekawy, wkradł się przez niskie okno, snopem iskier zamigotał w lustrze, a ślizgając się po krawędzi łóżka, padł na twarz Bonieckiego, który — zbudzony — uniósł się na łokciach i spojrzał na zegar.

Zaledwie piąta!

Z wieczora zasnąc nie mógł, słyszał jak zegar monotonnie wydzwaniał godzinę za godziną, a ten przeklęty kaszel męczył go, dusił, targał piersi i sen z powiek spędzał.

Zasnął dopiero po trzeciej, a jednak czuje się wypoczętym, rzeźkim i tak zdrowym, jak już oddawna nie pamięta!

Boniecki wstał szybko, otworzył okno i zaczął się ubierać!

Co za piękny ranek!

W oddali nad łąką mgła się wznosi, rwie się w strzępy i nicią pajęczą ulata w górę! Z lasu płynie świeży, wilgocią przesiąknięty

aromat sosen! Słońce chciwie spija rosę, lśni tęczą w uperlonej trawie i zwraca ku sobie rozwichrzone czupryny słoneczników, które długim szeregiem rozpostarły się wśród sadów!

Boniecki od lat sześciu, to jest od czasu, gdy objął posadę nauczyciela w tej wiosce— nie pamięta tak pięknego poranka.

Było tyle pogodnych, cieplejszych nawet niż dzisiejszy, ba! i słońce już nieraz wschodziło nad tym wątłym zagajnikiem, co dzieli las na dwie połowy... i opar często kłębił się nad łąkami — jednak... nie... dziś zupełnie inaczej... niepodobna tego określić, ale dziś pierś oddycha pełniej, oczy napatrzeć się nie mogą, chciałoby się biedz tam, do tej tarczy płomienistej, objąć serdecznym uściskiem jej złote promienie, kąpać się w blasku i rzucić światu rozkaz tytaniczny:

— Trwaj wiecznie!

Śmieszny, dziecinnie naiwny paradoks! Trwaj wiecznie!

Czyż jest coś wiecznego pod słońcem?

Czyż słońce samo jest wiecznem?

Boniecki uśmiechnął się gorzko.

Kiedyś, dzieckiem jeszcze, pytał ojca, czy to słońce piękne zawsze ziemi przyświecać będzie?

— O tak!—brzmiała poważna odpowiedź— zawsze...: aż do chwili, gdy ostygnie...

— A potem?

— Zagaśnie!

Wię to słońce, bóstwo, któremu ongi życia składano w ofierze, przed którem chylono się kornie w ekstazie, ta moc wszechpotężna, siła, co żywe wlewa we wszystko— ulegnie kiedyś potędze stokroć większej, rozpadnie się w proch, skona po długiej i daremnej walce z przeznaczeniem!

Biednyś Prometeuszu!

Wydarłeś niebu ogień, uniosłeś płomień, aby gorzał wiecznie i teraz sercem własnem płacąc za czyn zuchwały, sądzisz, żeś dopiął celu?

Wypali się płomień, żar zlodowacieje, znicz rozpadnie się w gruzy!

Biednyś Prometeuszu!

— Już nie śpisz, Luciu?—zapytał głos za drzwiami.

Boniecki ocknął się z zadumy.

— Dzień dobry, matko!

Drzwi skrzypnęły zlekka i w progu ukazała się kobieta lat pięćdziesięciu, o twarzy bladej, zmęczonej!

— Bój się Boga! Przy otwartem oknie! Jak można?

— Nic mi nie będzie, mamo! Jestem zdrów, jak ryba! W pokoju zaś duszno, wprost oddychać niepodobna!

— Słyszałeś przecie, co mówił doktór... najlżejsze przeziębienie... krwotok się powtórzy... a wtedy...

Łza się stoczyła po jej bezkrwistym policzku.

Boniecki drgnął, oczy błysnęły mu złowrogo.

— Prosiłem go już tyle razy, by nie plótł głupstw przed tobą, matko! — wybuchnął.

Spostrzegłszy jednak jej łzę, złagodniał, do ust rękę jej przycisnął...

— No... no... mamo... uspokój się... przebacz, lecz doprawdy gniew wzbiera, gdy się słyszy, że lekarz, który powinien tłumić obawy, sieje niepokój... Choćby nawet krwotok się powtórzył... wielka rzecz...

— Jednego mam ciebię na świecie, Luciu—szepnęła—więc nie dziw się matce! Czy istotnie lepiej się czujesz dzisiaj? Z wieczora, długo w noc, kaszlałeś bezustannie... Miałam nawet zamiar nie budzić cię wcale, chłopcom zaś powiedzieć, że lekcji nie będzie... Pocoś wstawał—należało wypocząć.

— Kto rano wstaje, temu Bóg daje - głosi przysłowie, mamo, i nie zawodzi: czuje, że poranek powrócił mi zdrowie. Teraz przejdę się trochę, odetchnę świeżem powietrzem— a to najlepszy wypoczynek.

— No dobrze... dobrze... Nie uwierzysz, jak mnie to cieszy! Może Bóg wysłuchał próśb moich gorących i tobie zdrowie, mnie zaś spokój powróci... Nim pójdziesz jednak, musisz wypić szklankę ciepłego mleka, mój synu. Poczekaj... zaraz przyniosę...

Po wyjściu matki Boniecki przetarł czoło, jakby usiłował odpędzić jakąś myśl natrętną, marę nieuchwytną!

Czy to chłód poranny go przejął, czy wzburzenie wstrząsnęło nerwami, lecz dreszcz lodowy przeszył go nawskroś i tępym bólem zakończył się w mózgu.

Czar piękna w naturze prysnął!

Krwotok się powtórzy...

A wtedy...

Tyle lat pracował, borykał się z losem, szedł ciernistą drogą życia naprzód, do celu, który jak gwiazda promienna wabił go, łudził, wróżył przyszłość owocną i rozsnuwał przed nim złotą przędzę marzeń! Do celu dążył wytrwale, bo wierzył, że ten cel jest wielki i wieczny!

Szedł naprzód z głową hardo wzniesioną, przez mgły zwątpień się przedzierał, deptał zuchwale przeszkody, przed burzą i wichrem się nie krył, pierś mężnie nadstawiał, bo wiara puklerzem mu była... nadzieją... bronią...

Szedł naprzód bez trwogi, jak tryumfator—zwycięzca, co, ufny w swe siły, nieprzyjaciela zamiary przewidział, zastępy wroga obliczył i wie, że go złamie, zniszczy, przemoże i do stóp swoich nagnie.

Szedł naprzód przez noce bezsenne, przez znój i pot krwawy, przez mrok i cierpienia!

I oto zbliżył się do celu!

Uchylił ręką drżącą zasłony tajemniczej...

I po raz pierwszy lęk go ogarnął...

I spojrzeć nie śmiał...

Obawiał się blasku, który go oślepi światła ogromem...

I zdawało mu się, że słyszy jakiś hymn radosny, hosannę czynu, potężny akord pieśni ducha!

Nagle zgrzyt szyderstwa rozchychotał się przed nim.

Spojrzał...

Mroczna twarz sfinksa, na którego czole widnieje krwawy napis — Przeznaczenie! — szepcze do niego:

— Krwotok się powtórzy, a wtedy...

Ciche kroki rozległy się za drzwiami.

— Masz! Wypij mleko duszkiem... Wychodząc zaś okryj się szalem... Mój drogi Luciu... uważaj tylko... idź drogą... nie po murawie, bo rosa... a doktór przestrzegał...

— Dobrze, matko!

Błądził długo, w głowie huczały mu słowa:

— Krwotok się powtórzy, a wtedy...

Wkrąg jak okiem zasięgnąć, drga życie pod tchnieniem twórczego światła...

Z łona ziemi wychylają się trawy, młodzieńcza krasa je zdobi i rosną, i kąpią się w cieple ożywczem, i krzepną...

Miljony barw i odcieni nęcą ku sobie jasne promienie słońca, oddechem pieszczoty wypełniają przestworze i akordem szumów łączą się z hymnem, jaki matka-natura wyśpiewuje na cześć potężnych godów istnienia!

Gwarzą drzewa liści poszeptem, które z ich steranych konarów powstały i płaszcz zielenią i srebrem haftowany na kościste ramiona zarzuciły!...

Oj! płoche to młode pokolenie!

Gdy słońce się rozżarzy, ciepłem owionie, to ku starym przybiegnie, wdzięczy się, uśmiecha i pieści...

Lecz gdy wichry przygonią, chłód przej-

mie, zawieja osmaga—odlata strwożone, ucieka na oślep i ginie bezradnie!..

Oj! płoche to młode pokolenie!...

Z dzwonnicy wiejskiego kościoła rozległ się, jak pieśn skowrończana, głos sygnaturki, zwołującej wiernych na modlitwę poranną.

— Niech będzie pochwalony! — powitał To nieckiego jakiś wieśniak na drodze.

— Na wieki wieków!—odrzekł, uchylając kapelusza, i spostrzegł dopiero, że zbyt oddalił się od wioski.

Uczuł zarazem dziwną niemoc, zmęczenie, graniczące niemal z omdleniem.

Twarz mu pałała, zimny pot wystąpił na czoło, piekły powieki...

Schylił się, zerwał garść wilgotnej, soczystej trawy i żuł ją, by zaspokoić straszne pragnienie.

Ociężałym krokiem powlókł się ku wiosce i zdala już ujrzał gromadkę chłopców, oczekujących na przyjście «pana nauczyciela», wśród nich zaś matkę, która, przysłoniwszy dłonią oczy, patrzyła z niepokojem w stronę, skąd powracał.

Siłą woli pokonał znużenie i bezwład ciała.

— A co? nie mówiłem? — wyrzekł, dysząc głęboko, gdy zbliżył się do matki—spacer to najlepszy wypoczynek i lekarz...

— No, dzieci do pracy!—zwrócił się do gromadki. Próżnowaliście dość podczas mojej choroby, trzeba będzie stracony czas nagrodzić! Musi pracować ten, kto chce dopiąć celu!

Zachwiał się...

Matka rzuciła się ku niemu.

— Ależ nie... matko... nie... źle stąpnąłem widocznie, przecież zdrów jestem zupełnie...

Za chwilę hałas i zgiełk zapanowały w szkole.

Chłopcy szturmem zdobywali miejsca, tłocząc się w wązkich ławkach.

Bardziej krewcy pięścią wywalczali stanowisko przy oknie, skąd łatwiej było obserwować, co dzieje sie na drodze, kto z gospodarzy wyjedzie lub powróci z pola, czyje bydło najwpierw przypędzą w południe, lub kiedy zacznie się—po dzwonku obiadowym—ruch w czworakach, co będzie nieomylną wskazówką, że już upłynęły godziny przedpołudniowej nauki.

Bóg wie jak długo trwałaby walka i układy dyplomatyczne, lecz oto Boniecki ukazał się w klasie.

Gwar ucichł.

Nauczyciel usiadł za stołem, na drżących dłoniach wsparł głowę i, patrząc na dziatwę zgromadzoną, zadumał się głęboko.

Kilkadziesiąt oczu wpatruje się w niego ciekawie, kilkadziesiąt nierozwiniętych, ciemnych umysłów czeka na przyjęcie światła, które rozniecić jego jest obowiązkiem, kilkadziesiąt serc przygotowuje sie do przyjęcia ziarna, które on zasiać powinien.

Przed nim gleba niewyzyskana, lemiesz jej dotąd nie poruszył, gdzieniegdzie tylko chwast szkodliwy wybujał. On ma być tym pierwszym oraczem, co pracą własną tę glebę uprawi, siejbę rzuci, by plon na pożytek przyszłości wydała.

Cisza w klasie...

Jeno z pól echo szept zbóż niesie...

Jeno to słonko trzepoce się u okna, igra z obłoków dymem, na chwilę skryje się za chmurkę i znów wyjrzy figlarnie, uśmiechnie się szczerzej i chcąc wynagrodzić sekundę nieobecności tem silniej grzeje, tem jaśniej świeci!...

Panie nauczycielu, przemów do dziatwy!

Odmaluj przed nią w jasnych barwach piękno życia, harmonję przyczyn i skutków w naturze, choć własne twe oczy widzą mrok i pleśń grobu, żałobny kwef śmierci!

Zaszczep w tych umysłach pragnienie walki z losem, podziw dla tajemniczej, a potężnej siły, co każe człowiekowi piąć się po stromej

drodze istnienia przez trudy, cierpienia, łzy i mękę tam, ku tym ułudnie migocącym gwiazdom, choć sam zwątpiłeś w urzeczywistnienie pragnień i marzeń...

Posiej na niewyjałowionej glebie serc maluczkich ziarno wiary, choć sam straciłeś wiarę...

Łudź je nadzieją, choć buntem niemocy w twojem sercu brzmią złowieszcze słowa:— krwotok się powtórzy, a wtedy...

Przemów do dziatwy, panie nauczycielu!

Biednyś Prometeuszu!

Wydarłeś niebu ogień, uniosłeś płomię, aby gorzało wiecznie i teraz sercem płacąc czyn zuchwały sądzisz, żeś dopiął celu?

Strawi się płomień, żar zlodowacieje, znicz zgaśnie!..

Zdziwiona milczeniem Bonieckiego gromadka patrzy na niego ciekawie.

Dlaczego milczy?

Co mu się stało?

Niezwykła cisza, wskrzesza bojaźń w sercach.

Milczenie lęk budzi.

Może nauczyciel dostrzegł lub dowiedział się o czyjemś przewinieniu? Może obmyśla karę, dobiera słów, by wypowiedzieć naganę?

Szmer powstał wśród chłopców. Jeden drugiemu zwierza się z domysłów.

Boniecki szeptów nie słyszy, nie widzi zaniepokojenia gromadki, nie przeczuwa nawet, że tam, za drzwiami, matka stara się ułowić uchem dźwięk jego mowy, że czuwa nad nim, bo sercem matczynem targa lęk o tego co jest jej życiem, jasnością, bóstwem!

Hej! Duchem on odbiegł daleko...

Po raz wtóry przeżywa życie i choć lata w sekundach mijają, jednak cięższa, stokroć boleśniejsza ta droga od tej, jaką przebył.

Czas rozwiał tęczę ułudy, obdarł brutalnie z rojeń pajęczych, pozostały tylko ścieżki strome, spiętrzone głazy, cierń i głóg raniący stopy i cel... nicość, przeznaczenie...

Gdzieżeś gwiazdo, drogowskazie jasny?

Gdzie jesteście marzenia, co przez pryzmat nadziei ukazywałyście rąbek nęcącej przyszłości?

Gdzieżeś siło, płomieniu w sercu rozżarzony, coś gnał naprzód, w bój z życiem, w walkę tytaniczną?

Gwiazda zagasła, pierzchły marzenia, ztlił się płomień...

Boniecki zbudził się z zamyślenia.

Nie!

Cor primum movens, ultimatum moriens!

Być może, po raz ostatni przemawia do tych dzieci, do tych serc bijących z ufnością do życia, do doli lepszej, bo niewiadomej...

Tak, on ginie pod nieubłaganym ciosem przeznaczenia, lecz może wśród tych, do których przemawia powstanie bohater, co bez trwogi do walki stanie i zwycięży!

Po raz ostatni...

Boniecki powstał, schwycił się dłonią za pierś, jakby chcąc powstrzymać war, napływający mu do krtani i, gasnącem spojrzeniem, w którem przebijała się miłość najtkliwsza, objąwszy strwożoną gromadkę, wyszeptał:

— Dążmy do celu!



KSIĄDZ JÓZIK.

TRYPTYK.

(Nowela nagrodzona na konkursie imienia Bolesława Prusa).

— Widzicie, Błażeju, że cholewy z gęby nie zrobiłem. Józik musi księdzem ostać— rzekłem—gdy się chłopak urodził i Józik księdzem ostał!

— Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek—dorzucił organista.

— Wiadomo·ć: jednym szydła golą, inszym brzytwy nie chcą!—westchnął Błażej. Łacno wam było, Wojciechu, chłopaka wyedukować, boście gospodarz, jak się patrzy! Nie na morgi was liczą, jeno na włóki.

— Są ci we wsi bogacze, ale żaden nie ma ani mieć będzie duchownej osoby w rodzinie, tylko ja, Wojciech Fiuczek! W wasze ręce, panie organisto... za zdrowie Józika!

— Bóg zapłać! I kiedyż to obaczymy księdza Józefa?

— Za tydzień pono—tak pisze.

Tu Fiuczek wyjął z kieszeni dużą chustkę kolorową, rozsupłał węzeł i podał organiście starannie złożony w kilkoro list.

— Ale patrzajcie — rzekł z dumą—jakie to pisanie! Równiusieńkie, a czyste, a jak mak drobniuśkie. Kiep gmina i pisarz!

— Kosztuje też ono! — mruknął Błażej. Dwie włóki kupiłby za nie!

— Nie sztuka kupić — żachnął się Wojciech—kupić byle kto potrafi! Ja nie chwaląc się, ani piędzi gruntu po ojcach nie sprzedałem, a syna-m na ojca duchownego wykierował!

— Święta prawda! — potwierdził organista. Pięknie pisze wasz syn, Wojciechu, ksiądz Józef. Pięknie pisze! Musi będzie z niego i kaznodzieja nielada! Bo... pięknie pisze!

— Mądry to był chłopak z maleńkości!— snuł wspomnienia Wojciech. Gdy przy niedzieli zagraliście na organach, panie organisto, rak zatracony jeno ślepiami łypał, a słuchał! Raz—pomnę—kupiłem mu na odpuście obrazek ze świętym Stanisławem biskupem – męczennikiem, a on jak się nie przypnie, jak nie zacznie molestować, coby go tak przystroić, jako ów Święty odziany! Piszczał i piszczał, aże go pasem ściągnąć bez plecy musiałem. Łebski pędrak był od małego!

— Kto ta wie! Może on i biskupem zostanie... szepnął półgłosem organista, zerkając pożądliwie ną gąsiorek z nalewką.

— O... o... o!—zaprzeczył Błażej.

— Wszystko w ręku Boga Wszechmocnego... Nawet żydowski naród był w Jego łasce przenajświętszej... to... może... i mój Józik...

Nie śmiał Wojciech dopowiedzieć, lecz już sama myśl o takim zaszczycie i szczęściu snadź go rozczuliła, gdyż nalał kieliszki, trącił się z organistą i Błażejem, aż szkło zadzwoniło i jednym haustem spełnił!

— Zacny trunek!—mlasnął organista językiem, splunął i opróżniony kieliszek ku butelce przysunął. Zacny trunek... jednakowoż... nie godzi się wam, Wojciechu, nazywać Józikiem księdza Józefa!

— Dyć on mój syn przecie?

— Nie wasz... nie... Boży on teraz sługa i powiernik.

— Zawszeć bez mojej woli nie ostałby księdzem!

— Nie z waszej to woli powstało, jeno z woli Boskiej!

— Wiem ci ja dobrze, że z Boskiej, ale moja to ręka napędzała go do książki, z mojego worka szło na edukację. Ho! ho! Puścić go tylko samopas, na chama by wyrósł!

— Widzi mi się, Wojciechu—obruszył się

Błażej—jako okrutna hardość w was rośnie. Co nie ksiądz—to cham!

— A bo i prawda!

— Jakąś nową prawdę powiadacie. Od stworzenia świata szlachcic ze szlachcica, żyd—na ten przykład — ze żyda, a z chama cham się rodzi! Juścić Bóg wam wielką dobroć okazał, a wy miast z pokorą ją przyjąć, jako prawdziwemu chrześcianinowi przystoi, pomiatacie ludźmi jednakiego stanu. Jabłoń, Wojciechu, gruszek nie daje! Z chamów powstaliście, córkę z chamem złączyliście, a chamstwem innych kłójecie. Baczcie, by was Bóg nie pokarał!

— Po waszemu wychodzi, że każdy parobczak mojemu Józikowi równy?—drwiąco zapytał Wojciech. A no!.. U nas we wsi... choćby to syn najpierwszego gospodarza... przed dziedzicem, pisarzem, wójtem, a nawet ekonomem, czapkuje. Obaczymy, czy mój Józik przed nimi, czy oni przed nim się skłonią! Oho! Trafiliście niby kulą w płot! Już to nie cham, kto jest księdzem, albo ma duchowną osobę w familji! Panowie z dziada pradziada po rękach cmokać go będą, aby zbawienie dusz grzesznych wybłagać! Ba! Nawet w niebie ksiądz ze swoją familją bliżej tronu Przedwiecznego stoi!

— No... no... galopem pojechaliście, Wojciechu!—roześmiał się organista. Może-ć nie wszystko wiem, co na tym świecie bywa, ale mi dobrze wiadomo, że w niebiesiech inakszy porządek Jezus Chrystus ustanowił. Widzicie... pierwsi przy stronie Wszechmocnego siedzą zmarli Ojcowie Święci, za nimi kardynałowie, dalej arcybiskupi, biskupi, kanonicy, proboszcze, potym rzędy wikarych. Tuż za duchowieństwem — organiści, a dopiero potem krewni duchownych i to po porządku duchowieństwa. Wy ta niebardzo blizko będziecie księdza Józefa! Nie...

— Zawszeć łacniej od innych do nieba wnijdę!—bąknął stropiony Wojciech.

Do późna w noc przeciągnęła się gawęda.

Wojciech szczegółowo opowiadał ile pracy i zabiegów kosztowało go wykształcenie syna, wyliczał rok po roku wydatki na książki, na szkoły, na ubranie. Nie zubożał jednak, nie zmarniał, lecz postawił na swojem—doczekał się pociechy i zaszczytu.

Błażej, ojciec trzech synów, zazdroszcząc w duszy Wojciechowi, dowodził, że każdy człowiek, nietylko ksiądz lub organista, może być zbawiony i zasłużyć na szacunek ludzki.

Organista zaś rozwinął całą erudycję swoją w sprawach kościelnych i pozagro-

bowych. O niebie, piekle i czyśćcu rozprawiał z taką pewnością, jakby owe miejsca tajemne leżały w obrębie tamtejszej parafji.

Słuchali go podziwiając gospodarze.

Wojciech był przekonany, iż dzięki Józikowi uniknie pokus szatańskich, po śmierci zaś osiągnie zbawienie wieczne.

Błażej żałował, iż skąpił pieniędzy i rzemienia, aby choć jednego ze swych synów wykierować na księdza.

Przy gawędzie ani spostrzegli, jak północ minęła i wyczerpał się zapas nalewki, którą gościnny gospodarz gości swych raczył.

Na zakończenie więc mile spędzonego wieczoru organista powtórzył był dosłownie rozmowę Piotra Świętego z Aniołem Gabryelem, prowadzoną przez tych wielkich dostojników podczas obliczania dochodów i wydatków Królestwa Niebieskiego.

Już zrzedniał mrok nocy, wschód nikłą bielą zachodził, gdy Błażej z organistą, chwiejąc się i podtrzymując wzajemnie, wyszli z chaty Wojciecha.

Im bardziej chłód wilgotny, bijąc orzeźwiającem tchnieniem w spocone twarze, trzeźwił głowy, tem większa złość i niechęć i zazdrość wzbierała w ich sercach.

Błażeja dotkliwie ubodło kategoryczne

zaliczanie do chamów tych wszystkich, którzy nie otrzymali święceń kapłańskich.

— Owa!—rozumował, rozstawszy się z organistą—taki to i będzie ksiądz! Urodził się jak wszyscy, razem z moimi chłopkami ganiał, bydło pasał...

Nagle przypomniał sobie słowa sąsiada, że Józikowi kłaniać się będą i dziedzic, i pisarz, i wójt, i ekonom...

— Psubraty! Hycle!—zaklął na swoich synów—psie figle się ich trzymały! Wałkonie! Choćby sto kłonic zedrzeć im na grzbietach, żaden nawet dziadem kościelnym nie potrafi ostać!

Wrócił do domu zły. Kopnął psa, co szczekając radośnie do nóg mu przypadł, zwymyślał żonę, iż wrota naoścież zostawiła otwarte... wreszcie rzucił się na łóżko i zasnął twardo.

I organista nie mógł pogodzić się z myślą, że ten Józik, syn zamożnego wprawdzie gospodarza, lecz bądźcobądź zwykłego chłopa, ten pędrak, którego nie raz targał za uszy, zdybawszy na spijaniu wina z ampułek, gdy ów do mszy sługiwał—dziś jest już księdzem.

— Ksiądz—bo ksiądz!—spluwał lekceważąco—ale to nie to, co nasz proboszcz! Za-

wsze-ć chamskie to pokolenie. Skąd by się taki nabrał delikatności! Mszę cichą odprawić—może i odprawi... ale wotywę, albo summę... Ho! ho! Po boru mu hukać... Już to śpiewać Fiuczek nie zdoła!

Jednak pewność, że ten chłop z Panem Bogiem za pan-brat we mszy będzie gadał—nie dawała mu zasnąć. Leżąc w łóżku, sapał, mruczał, przekładał poduszki, wstrząsał siennik, wzdychał, pacierz potrzykroć rozpoczynał i dokończyć nie mógł.

Wreszcie ksiądz Józik, gąsiorek z nalewką, Wojciech, proboszcz... zaczęli się łączyć... zlewać w jakieś dziwne... wielkie... mgliste... kłębiące się plamy, w jakieś zjawy potworne, wypełzające ze wszystkich kątów...

Organista zachrapał...

II.

Summę odprawi ksiądz Fiuczek.

Wieść ta podawana z ust do ust, wiadomość powtarzana przez wszystkich, nowina wielokrotnie omawiana w chałupach, w polu, w poblizkiem miasteczku, wywołująca ciekawość i podziw—obiegła całą parafję, wkrąg na mil kilka się rozniosła.

Naród dąży zewsząd, płynie falą.

Idzie lud ze wsi odległych, bielą się sukmany wieśniaków na wszystkich ścieżkach, chusty wieśniaczek migocą gamą barw jaskrawych wśród zbóż kłośnych, grają tęczą po miedzach...

A drogi kłębią się kurzem, wybuchającym rozwichrzonemi grzywami z pod kół wasągów, bryczek, wozów...

A jak okiem rzucić, widać wciąż nowe gromady, co wyrastają nagle z za drzew przydrożnych, z za chat, z za krzów...

Drepcą starce, którzy zwykle już w izbach się modlą, bo im lata moc odebrały, a nogi posłuszeństwa odmawiają do klęczenia podczas nabożeństwa, jako Chrystus ustanowił...

Podrygując, a swawoląc biegną dzieci, co do kupy «Ojcze Nasz» jeszcze złożyć nie umieją, ale i one rade ujrzeć księdza, o którym rodzice gwarzą, iż w tej wsi się urodził, bydło za młodu pasał, a synem jest owego Fiuczka!...

Gdyby do parafji zjechał największy dostojnik kościoła, nie śpieszonoby tłumniej...

A tłok w kościele, a ścisk taki, że ani ręką ruszyć, ani książki z zanadrza wydobyć, ani potu, ciurkiem z czoła spływającego, nie otrzeć rękawem!

I nietylko w przybytku Bożym, ale i na cmentarzu, co wieńcem z nieśmiertelników, wykwitających na mogiłach, okala świątynie—o miejsce niełatwo, bo i tu księdza Józika zobaczyć będzie można, gdy z procesją trzykrotnie wokoło przejdzie.

Nawet żebracy, po odpustach zwykle wędrujący, nadciągnęli tłumnie i zasiadłszy pod parkanem cmentarza, sznurem — zda się — z łachmanów skręconym przypuścili szturm do serc litościwych, już to wyśpiewując pieśni dziwów pełne o męczennikach, o zbójach, męki piekielne cierpiących, o walkach duchów potępionych z wojskiem anielskiem; już to żebrząc i skomląc żałośliwie; już to ręce wyłamane lub nogi w bliznach, sińcach i ranach gnojących się przed oczy ludziom wysuwając.

Wszędzie gwar, zgiełk!

Gwarzą gospodarze, plotkują—jako zwykle — kobiety, rajcują dziewczęta, piszczy i wrzeszczy drobiazg, a gdzie - niegdzie, zdala od starszych, parobcy z dziewuchami gzy rozpoczęli.

Przy wielkim ołtarzu, w ławce, tuż za dziedzicem, siedzi Wojciech, otoczony rodziną.

Szczęście i duma biją z jego ogorzałej twarzy.

Oto nadszedł dzień upragniony, dzień dawno oczekiwany, dzień zapłaty!

Najbardziej uroczysty dzień z życia jego!...

Siedzi Wojciech w ławce, pochylił się nad książką, czasem w pierś się uderzy, czasem westchnie głośniej, lecz częściej rzuca tryumfujące spojrzenie na tłum cisnący się w kościele, a wtedy oczy jego takiem szczęściem lśnią, a taka hardość z nich bije, jakby chciał powstać i krzyknąć na głos:

— Widzicie! Dziwujcie się! Moja to wola i ręka uczyniły syna księdzem!

Bo też choć znają go tu wszyscy, choć każdy wie ile ma on lat, jaki szmat ziemi do niego należy, ile pola obsiał, a ile pod ugór zostawił, choć każdy zliczyć potrafi jego chudobę, choć nie jednemu był swatem, a innego jest kumem — jednak to ten, to ów głowę po nad tłum wzniesie i przygląda mu się ciekawie i — łokciem obok stojącego trąciwszy - do przyjrzenia się Fiuczkowi zachęca.

Jak z krzów wiatrem targanych, tak z tłumu wybiega szept i do uszu Wojciecha dolata:

Stary Fiuczek tam siedzi!...

— Jak modli się żarliwie....

— Bóg mu pobłogosławił!...

Wojciech czuje te spojrzenia, chwyta łap-

czywie te szepty, palą go one, warem mózg oblewają, drą w strzępy słowa modlitwy, którą usta bezwiednie odmawiają, a cieszą, a radują, iż tylko siłą woli okrzyk nieokiełznanego szału w krtani na uwięzi trzyma!

Wtem zadźwięczał trzykrotnie dzwonek u zakrystji...

Zabuczały organy...

Zakolebał się tłum...

Ku ołtarzowi wolnym krokiem zbliża się ksiądz Fiuczek w złocistym ornacie...

Pierśmi chłopskiemi zatargało uniesienie...

Z tysiąca oczu trysnęły łzy...

Płacz i chlipanie rozległo się w ciszy...

Wojciech, ujrzawszy syna, wysunął się z ławki, przez chwilę patrzył w zachwyceniu, nagle zachwiał się i runął krzyżem...

I łkał...

Już to nie kmieć dumny z zaszczytu, chwalący się wolą i ręką, lecz ojciec, dzielący sercem to szczęście, jakie w jego mniemaniu przeżywa syn, to dziecko ukochane!..

Przypadł głową do zimnej posadzki, tarza się w prochu...

Nie słyszy pieśni, jaką zaintonował celebrans, a którą tysiąc głosów podchwyciło...

Nie widzi, że jego Józik, podtrzymywany przez dziedzica idzie z monstrancją, że dziew-

częta w bieli, niby aniołowie z nieba zesłani, sypią mu kwiaty pod stopy, a nad nim baldachim skrzy się gwiazdami złotemi, a dym wonny z kadzielnicy, jako o świcie z łąk opar, przejrzystem pasmem lotnego przędziwa oplata jego postać!..

— Jezu! Jezu?—modli się Wojciech, korzy się przed Panem, dziękuje, iż mu doczekać tej chwili pozwolił!

— Jezu! Jezu!—powtarza i jakaś niemoc rozrzewnienia, rozkoszy niewysłowionej pamięć mu mąci, iż usta żadnej modlitwy wysnuć nie mogą, tylko łkają:

— Jezu! Jezu!..

I nagle...

Czy że akord pieśni, wydostawszy się na przestworze, uleciał w błękit słoneczny, czy że dzwon, niewprawną poruszany ręką, na moment zatrzymał się, zastygł i umilkł— lecz sekunda ciszy oprzytomniła Wojciecha.

Podniósł głowę... klęknął... powlókł spojrzeniem po opustoszałej świątyni...

— Czyżby to sen tylko?..

Nie!..

Zarzą się świece na ołtarzu, grają dzwony, pieśń brzmi... nazewnątrz... zbliża się... potężnieje... coraz bliżej... bliżej...

Już kilka pojedynczych głosów, co wśli-

znęły się wraz z poprzedzającymi procesję, roztargało melodję, obiło się o sklepienie kościoła, lecz nim skonało już nowa fala rozpłynęła się echem rozmodlonem...

Procesja wraca...

Idzie Józik... Boga piastuje!

Idzie, wpatrzony w Hostję Przenajświętszą... Boga widzi!

Jezu! Jezu!

Zatrzymał się...

Zamarła pieśń...

Zastygł dzwon...

Błogosławi Józik!.. Wzniósł monstrancję!..

Pada tłum na kolana, gną się głowy, jak kłosy niewidzialną dłonią wiatru przygięte i ani jedno oko nie śmie spojrzeć, bo czuje, iż niegodne jest cudu, iż nie strzyma olśniewającego blasku majestatu!

— Jezu! Jezu!—ryknął Wojciech i znów legł krzyżem i znów łzy trysnęły z tych oczu, których — zdawało się — już nigdy ani łza szczęścia, ani łza cierpienia nie zamgli, jeno chyba ta śmierć ukoicielka!

III.

— Jedz, synaczku najmilejszy, jedz! Nie żałuj se! Dla kogóż to, jeśli nie dla ciebie... Józiku!

— Dziękuje, matko—nie głodnym!

— Zmieści się... zmieści...

— Daj mu pokój, Jaguś! On domowy... choć i ksiądz, ale zawszeć syn. No! Sąsiedzi! Nie gardźcie—zapraszał Wojciech—może jeszcze z gąsiorka! Co—Józik? Rozgrzeszysz? Ha! na co mi przyszło... o przyzwoleństwo jego prosić muszę ja... ojciec!

Po zmęczonej bladej twarzy księdza Józefa przesunął się cień. Uśmiech na usta wydobył, lecz ten w grymas stężał.

Uległ prośbie ojca, zgodził się spędzić wieczór w chacie rodzinnej, przyjął udział w uczcie, jaką wyprawiono na jego cześć.

Od trzech godzin siedzi za stołem.

Męczy go troskliwość matczyna, nuży obecność ciekawie przyglądających się mu sąsiadów, nęka bezustanna chełpliwość Wojciecha.

Odczuwa, że jest tu jakiemś cackiem kosztownem, które rodzina każe podziwiać zgromadzonym, że rada z nabytku pragnie olśnić wszystkich, chce ujrzeć bezsilną zazdrość, napoić oczy cudzą zawiścią, nacieszyć się, wchłonąć w uszy spragnione pochwały!

Obcą jak mu dziś ta chata, którą tak niedawno jeszcze swoim domem nazywał.

Dzień za dniem, rok za rokiem oddalały

go od tych, co mu życie dali. Każda kropla wiedzy żłobiła przedział między nim a rodziną, każda godzina nauki targała tysiącznymi węzłami, które łączyły go z chatą.

Wyprężały się nici, rwały się jedna za drugą, pogłębiał się przedział...

Dziś mu obco już tutaj...

— Józiku!.. jedz! — ciężka, spracowana dłoń matki spoczęła na jego głowie.

— Bezwiednie ujął tę rękę... do ust przycisnął.

— Józik! Co robisz?.. Godzi się to? Ja grzeszna... Nie mój-ś ty już... nie... Tyś ksiądz! Nie godnam, Józiku .. nie!..

Chciał zaprzeczyć, lecz powstrzymał się, gdyż zrozumiał, iż nie przekona, lecz przykrość i jej i ojcu i rodzinie swojej wyrządzi, iż bronić się będą przeciw jego słowom, bo szczęście ich dzisiaj polega na głębokiej wierze w jego wyższość... w jego obcość...

Wspomnienie o Józiku zaciera się w ich pamięci... oddala się, ginie bezpowrotnie...

I nie gonią za tem wspomnieniem tęskną myślą!

Rozstają się z niem bez żalu!

Chcą żyć dziś księdzem Józefem!

Im bardziej księdza w dziecku własnem czcić będą mogli, tem bardziej dusza rado-

wać się będzie, tem większe szczęście, tem większy zaszczyt, tem głębsza duma!

Pogłębiał się przedział... dziś przepaść dzieli!

Tak mu tu obco!

Powstał, skinieniem powstrzymał biesiadników i wyszedł z chaty.

Noc pocałunkiem ciszy powitała go na dworze.

Z łąk, i z pól, i z lasów, czarną wstęgą odrzynających się na gwiezdnej dali, biegł ku niemu natarczywy aromat kwiatów, ziół, traw... wtłaczał się w nozdrze, rozpływał się balsamem w płucach, w każdą tkankę przenikał, oddech pobudzał, pieścił, tulił!

Noc czarodziejka wabiła ku sobie.

Szły szepty z pól kłośnych, szmery z łąk wilgocią przesyconych, szumy z gąszczów żywicznych i nie mąciły jeno ją potęgowały...

A cisza, cudów twórczyni, na skrzydłach niewidzialnych, lotniejszych od tych puchów pajęczych — obłoczków z bieli tkanych, co mkną wśród gwiazd płochliwych, na skrzydłach, którym w biegu tylko myśl sprostać może, poniosła duszę księdza Józefa hen... daleko... tam, gdzie tylko duszą gościć można... w przeszłość!

...Urodził się syn w chacie wieśniaczej i księdzem musi zostać..

— Będziesz księdzem!.. lula go matka do snu.

— Księdzem być musisz—szepce groźnie ojciec, stając nad kołyską.

Dziecko rośnie... już pierwsze kroki stawia... już wzrokiem ździwionym na otaczający je świat patrzy, już wsłuchiwać się umie i słyszy wciąż uporczywie powtarzany wyraz.

Ksiądz! Ksiądz!

Mijają dnie, tygodnie, miesiące, lata...

Czas w pacholę dziecko przekształcił.

Z rówieśnikami bawi się ono, biega po łąkach, harcuje po polach... jest powiernikiem różnych zwierzeń, różnych pragnień... Dowiaduje się od towarzyszy zabaw, że jeden ekonomowi losu zazdrości, ten furmaniłby tylko, ów marzy, aby dziedzicem zostać—słowem każdy ma jakieś pragnienie, jakąś chęć, jakąś nadzieję—on jeden nie ma, bo wie, że księdzem zostać musi.

I cieszy się, bo mu kazano się cieszyć.

Zbiegły lata dziecinne.

Zaczyna się uczyć, pomaga mus, zaś w nauce rzemień ojcowski...

Rozpoczynają się długie godziny ślęcze-

nia nad książką, choć tuż za brudną szybą taka przestrzeń słoneczna, taki przepych królewski ziemi-rodzicielki, tyle dziwów za każdm krzem, tyle głosów rozbrzmiewa!

Tam w polu praca wre!

Echem dzwoni pieśń żeńców, gwar dolata, skrzyp wozów, żłobiących koleje w skibach wysuszonych wświdrowywa się przez ściany... a ty ucz się!

Niech cię pot osłabia, krzyż niechaj w pałąk się zgina, bo nie dla ciebie pole, nie dla ciebie ziemia: ty księdzem musisz zostać.

Taka wola rodzica, a wolę ręka da odczuć!

A zresztą i Józik chciałby już jaknajprędzej tym księdzem zostać...

Powoli przyzwyczaja się do książki. Pamięć z każdym dniem jakoś łatwiej wiedzę przyswaja. Niejedno już zaciekawia... jest już czem pochwalić się przed obcymi, czasem jakiemś pytaniem tak starszych zadziwić, iż myślą... myślą... drapią się po głowie, i ani rusz odpowiedzi znaleźć nie mogą, czasem jakąś wiadomością w książce wyczytaną najmędrszych we wsi w kozi róg zapędzić!

Wreszcie wyjazd do szkół!

Boże! Ile to korcy pszenicy i żyta kosztuje!

Ale rodzic nie żałuje—zawziął się!

Choćby ostatnią kapotę z grzbietu zedrzeć, choćby ostatnie bydle na targ wywlec—musi postawić na swojem!

Najadł się Józik wstydu!

Żgano go chłopstwem, chamstwo na każdym kroku wytykano. Zwyczajnie—jak w mieście!

Ale teraz i w nim zawziętość się zbudziła.

Krwawicy ojcowskiej na marne pójść nie pozwoli!

Do pracy się wziął, kuł, aż kowala przezwisko zdobył, do późna w noc się uczył, wcześniej od kolegów do książki wstawał...

Czas minął... jak z bicza trzasł!..

Pieści noc księdza Józefa.

Wita go wioska, szeregiem strzech złocistych tuląca się w mroku.

Wita go ziemia, twardym pługiem na łany poorana.

— Bywaj!—szepcą kłosy.

— Witaj!—szeleści las odwieczny.

— Wracasz?—zapytuje grusza samotnica, co—zda się—nad polami czuwa, przed burzą jękiem ostrzega, podczas skwaru — ukryty w gałęziach chłód rozsiewa.

Pije ksiądz Józef ciszę nocy.

Spojrzeniem miłosnem objął wkrąg rodzinne strony.

I oto po raz pierwszy budzą się w jego sercu pragnienia, rodzą się pożądania.

Zaszczepił je Bóg, co pradziadom Józika ziemię oddał w posiadanie.

Nie dzwonów hejnału łaknie ksiądz Józef...

Nie dźwięków organów rozmodlonych...

Nie modlitw...

Nie ascetycznej ekstazy!

Pręży ramiona! W zapasy z ziemią... zmagać się z nią pragnie!

Ręce po łokcie urobić! Krwawym potem się oblać! Ból w każdem ścięgnie odczuć! Giąć kark, piec go w słońcu, a skiby choćby rękoma odwalać, choćby krwią własną je użyzniać, każde źdźbło własnem tchnieniem ogrzewać!

Na głód i znój, na troskę pójdzie, byleby do tej ziemi mógł przypaść!

. . . .

— Za zdrowie Józika! — doleciał odgłos z chaty.

— Za zdrowie! chór wrzasnął.

Ksiądz Józef obejrzał się trwożliwie i, jakby uciekając przed tymi okrzykami,

odszedł śpiesznie w głąb sadu, w którym dzieckiem będąc spędził tyle chwil niezapomnianych. Odszukał ławkę, niezgrabnie skleconą z przegnitych desek parkanu, osunął się na nią i, oparłszy trawione żarem czoło o pień lipy-powiernicy, zapłakał, żegnając nazawsze pierwsze w życiu i niezniszczalne pragnienie!

Długa nieobecność syna zaniepokoiła Wojciecha, więc wyszedł był, aby go odszukać. Nie znalazłszy przed chatą — zwrócił się w stronę sądu.

— Pewnie się modli—szepnął—nie trza mu przeszkadzać... niech ta, chudziak, w spokoju na nasze zbawienie zarabia.

Stąpał więc cicho, ostrożnie i niespostrzeżony przez księdza Józefa zbliżył się ku ławce.

— Modli się!—patrzał rozrzewniony na syna, kryjącego twarz w dłoniach—zmówię i ja pacierz... może Bóg łaskawiej wysłucha.

Zgiął był kolano, by klęknąć, gdy nagle szloch cichy obił mu się o uszy.

— Józiku! Co tobie? — zapytał przystąpiwszy.

— Józiku!—powtórzył—Józiku!

Szloch był jedyną odpowiedzią.

Zbladł Fiuczek. Trwoga załomotała mu mu w piersiach.

— Józiku! Przemów... dyć ja ojciec jestem... Czy ci się jaka krzywda stała?...

Ksiądz Józef zwolna podniósł głowę... oczyma pełnemi łez spojrzał... otworzył usta, jakby rzec coś pragnął, lecz zamiast słów łkanie jęknęło mu w krtani...

Józiku!—krzyknął błagalnie Wojciech.

I choć zrozumieć nie mógł, jaki ból szarpie piersią syna, odczuł, że jego dziecku jakaś krzywda się stała, że ten szloch w dniu tak radosnym jakaś krwawa rana wyrywa...

I jak dziś w kościele padł krzyżem na widok Józika w złocistym ornacie, tak teraz przypadł do nóg syna i głosem stłumionym wyszeptał:

— A jeślim ja cię skrzywdził, to przebacz, Józiku... przebacz!



BAJKA KRAJOWA.

Był wśród nas, kto wie, może jest i obecnie pewien człowiek.

Nie byle jaki człowiek.

Jeden z tych, o których mówi się zwykle...

Właściwie, o których się nie mówi, lecz — zależnie od okoliczności — wyszeptuje, wychrząkuje lub wygwizduje:

— Ho! ho! mosterdzieju! Fiu! fiu! łaskawco! He! he! panie szanowny! Hm! hm! proszę ja pana!

Słowem był to człowiek w najistotniejszem tego słowa znaczeniu, człowiek monolit, o wielkiej wartości zewnętrznej — chrząkano, szeptano i gwizdano o tem — człowiek od stóp aż do facjatek czteropiętrowej kamienicy w śródmieściu, którą był otrzymał w spadku po kanoniku. Ogólnie zaś rzeczą jest wiadomą, że kanonik, zapisujący kamienicę ni stąd ni zowąd, nazywa się zwykle stryjem spadkobiercy.

Czem był ten człowiek do chwili objęcia w posiadanie zapisanej mu kamienicy—o tem nic nie wspominali nigdy ludzie jego sfery, ani on sam o tem nigdy nie napomknął.

Czem stał się po załatwieniu formalności spadkowych o tem wszyscy wiedzieli.

Stał się bowiem człowiekiem myślącym.

Tak jest—człowiek ów myślał.

Codziennie siadywał po obiedzie, ba! nawet przed obiadem w swoim gabinecie, zapalał cygaro...

A wtedy żona tego człowieka strofowała legalnie poczęte dzieci, gdy które z nich śmiało się lub płakało.

— Bądźcie grzeczne, chodźcie na paluszkach, rozmawiajcie pocichu, bo tatuś myśli...

A jeśli w on czas zjawił się na podwórzu handlarz starzyzną, kościarka, druciarczyk, bednarz, szklarz albo jakaś inna postać, zbyt głośno zarabiająca na chleb powszedni—wtedy stróż, ujrzawszy groźną twarz żony tego człowieka, wychylającą się przez lufcik, wyrzucał za bramę natręta!

— Won stąd! Pan gospodarz myśli...

A jeśli zadzwonił w on czas u drzwi frontowych któryś z licznych przyjaciół i czcicieli tego człowieka, to wówczas lokaj wpro-

wadzał gościa do salonu, gdzie pani już oczekiwała, aby uprzedzić, że.—

— Mąż za chwileczkę będzie mógł służyć, obecnie bowiem, jak to panu wiadomo...

— Myśli—kończył przyjaciel lub czciciel.

— Tak jest... myśli!—z namaszczeniem pochylała głowę żona.

A jeśli w on czas przybywał ktoś z interesantów, to lokaj przez drzwi uchylone na schody oznajmiał:

— Jaśnie pan nie przyjmuje... jest zajęty... myśli.

I człowiek ów palił cygaro i—wszyscy o tem wiedzieli - myślał.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby ten człowiek wyłącznie tylko myślał.

O nie!

W chwilach wolnych od myślenia—człowiek ten i mówił—mówił bardzo dużo... długo mógł mówić...

Czy to w resursie przy wincie, czy to w domu podczas kolacji, czy to w knajpce i w cukierni, czy to zasiadłszy na fotelu prezydjalnym—godność powiem prezesa w pięciu instytucjach społecznych piastował—wszędzie i zawsze mówił.

Pięknie mówił.

Wprawdzie ludzie niechętni emu człowiekowi, ludzie, nie posiadający kamienic, a jako tacy wiecznie i ze wszystkiego niezadowoleni, wyrażali się lekceważąco o tem, co on mówił:

— Ależ ten człowiek tylko powtarza to, co inni przed nim już dawno byli powiedzieli!

Zarzut nie wytrzymujący krytyki!

Po pierwsze mowa nasza składa się ze zdań i okresów po miljard razy już powtarzanych, myśli zużytych, po drugie zaś powtarzanie może być posunięte do wyżyn artyzmu, stać się twórczem!

Naprzykład.

Człowiek ów, będąc prezesem pewnej poważnej, dziesiątki już lat istniejącej, tak zwanej placówki społecznej, zwykł mawiać:

— Bez tradycji niema cywilizacji! Czcijmy i zachowujmy tradycję!

Na inauguracyjnem zaś posiedzeniu instutucji, która powstała dzięki nowym prądom, nowym hasłom, krzyknął z zapałem:

— Burzmy tradycję! Bez burzenia bowiem tradycji niema postępu!

Przepięknie to powiedział!

Jednogłośnie obwołano go prezesem!

A czyż on był twórcą tych dwóch twierdzeń?

Bynajmniej.

Wiedział jednak co, gdzie i jak powtórzyć można.

Takim był ów człowiek.

Pewnego razu wyjechał on był na wypoczynek letni.

Przybył do uroczego zakątka wiejskiego, w dni zaś kilka po jego przybyciu cała okolica wiedziała, iż w willi pod lasem zamieszkał człowiek, który myśli.

Więc wokół cisza zaległa.

Oto mieszka człowiek, który myśli i stać go na to, aby myślał—a to rzadko bywa.

Kiedyś o ślicznym poranku, gdy słońce piło chciwie kryształowe rosy, perlące się na rzęsach stokrotek i snopem iskier migotało wśród traw na łące—wyszedł ów człowiek na przechadzkę, aby—jak się wyraził do żony—przeżyć godzinę myśli.

Szedł ścieżką, wijącą się poprzez żyta chleborodne, a oczy rodziny mogły podziwiać z okien willi jego postać szlachetną, jego chód miarowy i głowę, uginającą się pod ciężarem myśli.

Wreszcie zniknął w lesie.

A za chwilę w gąszczu leśnym zatrzepotała echem popularna piosenka:

— «Smutno raz było Jadwidze: Poszła do lasu po rydze...»

Ów człowiek to śpiewał.

Kultura wstąpiła w leśne ustronie.

Człowiek przeżywał godzinę myśli.

Szedł wesoło, zakreślając laską misterne kółka, depcąc blade paprocie, rozgniatając brunatne prawaki, wychylające swe zakwefione czuby z pod zeschłego igliwia.

Nagle...

Piosenka zamilkła

Głowa pochyliła się ciężko pod brzemieniem myśli.

Chód stał się powolnym, poważnym.

Na polanie leśnej człowiek myślący ujrzał zgarbioną postać pastucha świń.

Stał więc on znów takim, jakim podziwiała go żona, legalnie poczęte dzieci, lokaj, stróż, koledzy, czciciele, goście, przyjaciele i placówki społeczne.

Zpod rzęs obserwował pastucha, pragnąc ujrzeć na jego twarzy zachwyt.

Pastuch uśmiechał się głupkowato.

— Bydlę! Nie poznał się na myśli... Może chamska dusza będzie wrażliwszą na mowę!

— Jak się macie?—zagadnął.

— Na wieki wieków. Dobrze, chwalić Boga!

— Tutejszy?

— A niby.

— Skąd?

— Ze wsi.

— Pasiecie?

— Świniaki.

— Djabelnie nudna rzecz, tak cały dzień samemu...

— A dyć są świniaki

— Przecież nie do rozmowy?

— Czemu nie?

— Gadacie z nimi?

— Juścić.

— I rozumieją?

— Toć bat mam niezgorszy.

— Hm! Więc dlatego?—człowiek myślący roześmiał się szczerze.

— Bez bata zatem nie moglibyście się porozumieć?

— To si; wie! Taki porządek na świecie.

— No... niezawsze...

— Zawsze, wielmożny panie. Tak, Bat albo poczęstunek. Na ten przykład, gdy zej-dzie się chłop z chłopem, wójt z wójtem, dziedzic z dziedzicem, albo proboszcz z pro-

boszczem, to nigdy—jak Bóg przykazał, godziwie nie pogawędzą, ale się swarzą! Jeden mówi tak, drugi powiada nie. I chociażby politycznie gadali, bez bijatyki, zawsze każdy z nich powiada, że to on jeno mądrze mówi... Ale kiedy dziedzic zacznie gadać z chłopem, proboszcz z zakrystjanem, wójt choćby z włókowym gospodarzem—tedy insza rzecz! Dziedzie ma rację, bo może sprać, proboszcz, duchowna osoba,—wykląć, wójt—zamknąć...

— A czemuż to mnie, choć nie mogę ani sprać, jak powiadacie, ani wykląć, ani zamknąć, jednak ludzie słuchają i przyznają słuszność.

— Ha! Nie znam wielmożnego pana! Ale może to — bez urazy rzeknąwszy — poczęstunek.

— Nie...

— To dziw...

— Lecz dlatego, iż wiedzą o tem dobrze, że umiem myśleć.

— Wielmożny pan myśli?

— Dziwi to was?

— A... bez urazy... o czem?

— Nie zrozumiecie, choćbym nawet powiedział.

— Ci zaś rozumieją?

— Kto?

— Co wielmożnego pana słuchają?

— Naturalnie.

— A wielmożny pan pytał?

— Wiem bez zapytywania.

— Bo to różnie bywa. Czasami proboszcz przy niedzieli mówi... mówi i mówi, a gdy powie - «amen»—ludziska odpowiedzą—«Panie Boże zapłać!—choć nikt—szyję tnij—nawet ten, co pod samą amboną stoi, dobrze nie wie, o czem dobrodziej kazał. Różnie bywa.

— Ja też do chamstwa nie gadam.

— Aha! Jeno do edukowanych.

— Tak.

— To wielmożny pan cosik jak nauczyciel.

— Co się też wam przyśniło! Dzięki Bogu nie potrzebuję zarabiać na chleb powszedni! Jestem właścicielem czteropiętrowej kamienicy.

— Oho! I do kogoż to wielmożny pan gada?

— Na zgromadzeniach, gdy jako prezes...

— Prezes? To urząd jakiś, choć wielmożny pan odziany zwyczajnie, po bożemu.

— Prezesem nazywa się człowiek, stojący na czele jakiejś poważnej instytucji, rozumiecie?

— Ano... miarkuję. Jeno poco on tam stoi?

— Aby myślał, strzegł dobra jemu powierzonego, czuwał nad wszystkiem...

— Musi to ciężka praca! Wielmożny pan pewnie i nie doje i nie dośpi?

— No tak źle to znów nie jest! Od tego są inni.

Widzę, że nie możecie mnie zrozumieć. Zaraz wam wytłumaczę. Instytucja to—przypuśćmy—jakiś wielki majątek...

— Już miarkuję. Wielmożny pan — to dziedzic.

— No... niezupełnie, lecz prawie.

— Zrozumiałem, wielmożny panie, zrozumiałem. Chłopi orzą, karbowy pogania, ekonom pilnuje, rządca wyznacza robociznę, a wielmożny pan—niby dziedzic—ma czysty profit...

— Głupiś!—syknął człowiek myślący i krokiem szybkim oddalił się z polany.



NA CMENTARZU.

Życie hojną dłonią rzucało mu ciernie pod stopy, nie szczędziło trosk, goryczy i zgryzot.

Jakieś fatum zawisło nad jego dolą i strzegło zazdrośnie, by ani jeden promyk szczęścia nie zamigotał nadzieją lepszego jutra w jego smutnych, spłowiałych przy pracy źrenicach.

Nie miał nigdy przyjaciół, niczyjej życzliwości nie doznał, młodo odumarła go żona, niewdzięcznością zapłaciły mu za tkliwą miłość dzieci, maltretowali go zwierzchnicy...

Więc w walce nierównej z przeznaczeniem stargał nerwy, zgorzkniał, przestał wierzyć w istnienie dobra na świecie, miał jakiś dziwny żal do całego społeczeństwa, niechęć i odrazę niewytłumaczoną nietylko do tych ludzi, z którymi łączyły go stosunki, bądź znajomość, bądź koleżeństwo, ale nawet do

tych tysięcy osobników, spotykanych codziennie, obcych i nieznanych mu zupełnie.

— Podły świat!—zwykł mawiać i w tym frazesie, rzucanym przez usta zaciśnięte, streszczał swe zapatrywanie na wędrówkę doczesną.

Jednak przyszła chwila, iż zmienił zdanie.

Wpłynął na to wieniec piętnastorublowy, zakupiony składkowo przez czterdziestu kilku jego kolegów.

Zwykły, szablonowy wieniec: dwa sztuczne liście palmowe, spojono pęczkiem, osadzonych na drutach kwiatów, z pod których zwieszała się biała, atłasowa szarfa.

Być może, że ani wieniec, ani szarfa nie zrobiłyby na nim wrażenia, lecz napis na wstędze ułożony z liter ceratowych, głoszący,— «Drogiemu, nieodżałowanemu koledze—koledzy»—z pewnością łzę byłby mu z oczu wycisnął, gdyby mógł płakać.

Niestety! Płakać wówczas nie mógł.

A działo się to w cudną noc letnią...

Rozgwiażdżony strop szafiru zawisł nad ziemią.

Wiatr trzepotliwy niósł na swych lotnych skrzydłach jękliwe dźwięki zegara, wydzwaniającego północ na kościelnej wieżycy...

Wśród drzew cmentarnych zakołysały się jakieś zjawy mgliste, snuły się zewsząd i, przybierając coraz wyraźniejsze kształty szkieletów, dążyły ku świeżo usypanej mogile.

Zajął ją był właśnie dzisiaj, dzięki skutecznej pomocy lekarza, opłacanego przez zarząd instytucji, w której przepracował czterdzieści długich lat.

Legł na spoczynek wieczysty on, co tak zawsze pragnął ciszy, spokoju i samotności.

Nie przewidywał, że o północy będzie musiał powstać, gdyż towarzysze cmentarni spieszyli zewsząd, aby zawrzeć znajomość z nowym przybyszem, dowiedzieć co słychać nowego na świecie?

Stanęli w półkole nad mogiłą, zaklekotali piszczelami, z bezzębnych zaś jam ustnych wybiegł rozkaz głuchy:

— Wstań, towarzyszu! Witamy cię!

Poruszyła się ziemia.

Rozsunęła się świeżo usypana mogiła.

Powoli, z wysiłkiem zaczęła wynurzać się z głębi sina, koścista, apatycznie wyciągnięta twarz nieboszczyka, następnie wązkie ramiona, zapadnięta klatka piersiowa, długie, nieprzyzwoicie długie ręce, dalej przerażająco cienkie, suche nogi...

— Moje uszanowanie!—westchnął i zgiął się w nizkim ukłonie, do jakiego przywykł był w życiu.

Zachichotały szkielety.

— Ostrożnie, kolego! Widać, żeś nowicjusz!

Rozsypiesz się wkrótce, jeśli nadal w ten sposób zginać się będziesz!

— Consuetudo est altera natura!—nieboszczyk po raz pierwszy zużytkował praktycznie łacinę, której uczył się w szkołach.

— Ba! Tutaj również jest altera natura—odciął któryś z truposzów.

Dowcip wywołał ogólne zadowolenie.

— No i co tam nowego słychać?

— Gdzie?

— No tam, skąd przybywasz...na świecie...

— Phi!...—gwizdnął—podle...

— Tak każdy z was... nowych... powiada—kiwnął czaszką jeden ze szkieletów—ale nie macie racji! Tu... u nas... istotnie podle...

— No...—nieśmiało zaoponował zmartwychwstały.

— Przekonasz się wkrótce... A czem byłeś za życia!

— Kasjerem...

— I umarłeś w kraju?

— Tu, gdziem się rodził...

— Toś głupi! — syknięto i zaciekawieni truposze zbliżyli się, aby lepiej przyjrzeć się nowemu koledze.

Musiał opowiedzieć im szczegółowo o wszystkiem, czego był świadkiem za ostatnich dni swego żywota. Okazało się bowiem, że od dłuższego już czasu nie miano na cmentarzu żadnych wiadomości ze świata, gdyż wszyscy grzebani w ciągu ostatnich dwóch tygodni kończyli żywot nieprzytomnie. Kasjer był pierwszym, co przeniósł się do wieczności w pełni władz umysłowych.

Zasypywano go wprost pytaniami.

A że na trzy godziny przed agonją przeczytał ostatniego Kurjerka, więc mógł udzielić odpowiedzi wyczerpujących, zwłaszcza w sprawach teatralnych, któremi truposze interesowali się bardzo.

— No! dość będzie na dzisiaj! – odezwał się wreszcie jeden ze szkieletów. Jutro opowiesz nam resztę, a teraz... czasu mamy już niewiele... trzeba zaś koniecznie się przewietrzyć... hygjena przedewszystkiem! Chodź z nami!

— Dobrze... jeśli tak być musi... choć ja właściwie wolałbym poleżeć, aby odpocząć trochę po pięćdziesięciu dwóch latach życia...

— Na to będziesz miał dużo czasu... całą wieczność... gdy spróchniejesz na pył, bo... uważasz... to cię nie minie... jak amen w pacierzu. Taka zaś przechadzka codzienna doskonale robi na kości... konserwując je znakomicie... No: nie marudź!

Kasjer pochylił głowę, poruszył nogą, aby dać krok... coś zaszeleściało na ziemi.

— Przepraszam najmocniej... pójdę z przyjemnością tylko że... zdaje mi się... nadepnąłem mimowoli na coś...

— Kopnij! To wieniec!

— Wieniec? Na moim grobie?

— A tak. Patrz... przeczytaj na szarfie: «Drogiemu, nieodżałowanemu koledze—koledzy». Ilu ich miałeś?

— Kogo?

— No, kolegów?

— Czterdziestu kilku—westchnął bardzo ciężko.

— Zatem, twoja śmierć kosztowała każdego z nich niecałe czterdzieści kopiejek, wliczywszy żal.

— Więc to dla mnie... ten wspaniały wieniec?—zdumiał się.

— Mój drogi—oburzyły się truposz—tutaj, uważasz, na cmentarzu unikaj przesady. Wieniec naturalnie należy do ciebie, skoro leży na twoim grobie, ale do wspaniałości dużo mu jeszcze brak. Jest to zwykły wieniec, jakie wyrabiane są w wielkiej ilości, w lichym gatunku i rodzaju, wystarczającym w zupełności do zsymbolizowania przyjaźni lub koleżeństwa. Gdyby istotnie był wspaniałym, mój drogi, to w godzinę po twoim pogrzebie wisiałby na ścianie w mieszkaniu dozorcy cmentarnego, jutro zaś byłby za połowę ceny odsprzedany firmie, która wieńcami handluje. No! chodź... chodź... wkrótce świtać zacznie...

Kasjer zamachał rękoma, jak tenor bohaterski w ostatnim akcie.

— Panowie i panie!—W kwestji formalnej!—pierwszy raz w życiu—po śmierci—stał się wymownym. Panowie i panie!—powtórzył. Słuchajcie! Jeśli łzy rozczulenia i głębokiej wdzięczności nie płyną mi z oczu, to wyłącznie dlatego, że płynąć, jak wiecie, nie mogą. Wierzajcie mi jednak, że ta chwila uroczysta po śmierci, godzi mnie ze światem, wynagradza mi sowicie całe życie zgry-

zot i zawodów. Wieniec dla mnie! Poczciwi! «Drogiemu—nieodżałowanemu!» Zacni! Kochani! To prawda, że poręczałem za nich, że naturalnie płaciłem, ale ja im w gruncie rzeczy nie ufałem, podejrzywałem o intrygi... nie chciałem przeniknąć głębiej w ich serca, nie umiałem odszukać tych pereł... Nieodżałowanemu! Panowie i panie! Świat nie jest tak podły... przeciwnie... człowiek dopiero po śmierci przekonywa się o tem. Panowie i panie! Świat... wybaczcie, że może nie dość wyraźnie formułuję myśli... że plączę słowa, jakie cisną mi się z krtani na zesztywniałe usta, ale... ja nie mam wprawy, bo jako wieloletni współpracownik nie miałem sposobności do przemawiania... musiałem tylko słuchać... a zresztą anemja... katar żołądka... suchoty... uważacie panowie i panie... obowiązki...

Nie skończył.

Szkielety rzuciły się na niego i wtłoczyły do grobu. Odtąd jednak w każdą noc zrywał się pierwszy, gonił stroniących od niego towarzyszy i, nabierając stopniowo wprawy w wysławianiu się, wygłaszał długie przemowy o zaletach świata, z którego zszedł w pięćdziesiątym drugim roku życia.

Nadaremnie tłumaczono mu, iż składanie

wieńców na trumnach, jest to jeden z tych licznych zabytków szczątkowych, które, utraciwszy z biegiem lat swoją treść i cel, pozostały czczą formą, bezwiednie i tylko tradycyjnie zastosowywana przez ludzkość.

Aby wyleczyć go z tego spóźnionego optymizmu, sprowadzono na jedno z posiedzeń byłego przedsiębiorcę pogrzebowego, aby opowiedział jak złorzeczą w podobnych wypadkach ludzie, którzy dla pozorów zmuszeni są nabywać wieńce, jak wstrętnie targują się o każdą kopiejkę i kpią bezczelnie przy układaniu napisów.

A więc i napis na jego wieńcu—to zwykły w takich okolicznościach zwrot retoryczny—frazes bez jakiegokolwiek znaczenia.

I jeśli koledzy istotnie żałują czegoś, to owych czterdziestu kopiejek, na których wydatek naraził ich przez swoją śmierć—zupełnie zresztą nie w porę, gdyż w drugiej połowie miesiąca, kiedy to każdy grosz posiada wartość podwójną.

Przekonywano go, że gdyby umarł nie on, kasjer, lecz nienawidzony ogólnie prokurent, wieniec byłby wspanialszy, szarfy czysto jedwabne, napis zaś suto złocony, lecz nie z liter ceratowych jak u niego.

Kasjer nie dał się przekonać.

Chciał nawet wybrać się kiedyś o północy z wizytami, aby osobiście podziękować każdemu z kolegów, lecz wobec zgnicia garderoby, jaką obdarzono go na wieczystą podróż—zamiaru musiał, aczkolwiek z żalem wielkim, zaniechać.

Minął rok.

Kasjer zdobył tytuł warjata i stał się postrachem całego cmentarza.

Kto wie, czemby się to skończyło, bo truposze na nadzwyczajnem zebraniu ogólnem, w drugim naturalnie terminie, uchwalili jednogłośnie za wszelką cenę pozbyć się gadatliwego i nieznośnego przybysza, co zakłócał spokój cmentarny.

Wybrano komisję, która miała w czasie najbliższym obmyślić środki i sposoby i poddać je zatwierdzeniu następnego zebrania.

Nim jednak komisja zdążyła odbyć kilka przedwstępnych posiedzeń zaszedł wypadek, który uleczył radykalnie «drogiego nieodżałowanego».

Pewnego dnia jęczały rozgłośnie dzwony pogrzebne, pienia żałobne toczyły się echem przenikliwem po mogiłach, mowy nadgrobne przenikały w głąb ziemi cmentarnej.

Świat pozbywał się kogoś.

Szkielety z niecierpliwością oczekiwały północy, nie mogąc uleżeć spokojnie w trumnach.

Wreszcie zadzwonił zegar kościelny.

Rzucono się tłumnie.

Nawet kasjer zaniechał przemówienia i wraz z towarzyszami stanął na świeżym grobie.

— Hola!—krzyknął, spojrzawszy na blachę—nasz prokurent! A... nie—dodał, wczytując się—nie... to jego stryj...

— Znałeś go?—zapytano.

— Nie. Mieszkał stale w Paryżu.

— Przyjeżdżał często?

— Nigdy. Był to człowiek bardzo bogaty, właściciel kilku wielkich kamienic w naszem mieście. Widocznie, sprowadzono go do kraju już po śmierci. Ciekawym, od kogo tyle wieńców?

Wieńce były od czasu śmierci, a raczej zmartwychpowstania, czułą struną kasjera.

Zbliżył się więc, nachylił i zaczął kolejno odczytywać złocone pompatyczne napisy.

Wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Każdy z czterdziestu kilku byłych jego kolegów złożył stryjowi prokurenta wieniec w cenie co najmniej rubli dwudziestu...

— Phi!... podły świat! — syknął kasjer, kopnął w stos liści, kwiatów i szarf, zawrócił do własnej mogiły i rzucił się w nią tak gwałtownie, iż rozsypał się na części.



TREŚĆ.



Pióro ciętego i wytwornego sa-yryka, jakim jest Nowaczyński, nalazło nowe pole do błyśnięcia krami dowcipu i gryzącej ironii.

Na tło Bałtyku rzucone zostały igury Kronprinca i jego świty, rad-y Rakuzkiego, stręczyciela ład-nych kobiet i podpory „drajbun-lu", uroczych syren z Warszawy, z mężami i bez, oraz żyda, Pap-kinda, WELTMENSCHA i CHAM-PIONA do pobijania rekordów w walce ras.

Postacie, choć obrysowane kon-urowo, z użyciem barw jaskra-wych, prowadzone ręką mistrzow-ką nabierają silnej plastyki i stwa-zają wprost fascynujące wrażenie siłą swej charakterystyki głębią psychologicznego ujęcia.

Cena Rb. 1.40





Krotochwila, osnuta na tle zakulisowego życia warszawskich sfer finansowych.

Cena 75 kop.



